



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

PRZED ZIMĄ.

ELEGJA.

Mgły potop zalewa światy,
Toną w niej drzewa i chaty—
Deszcz mrzy wciąż na cały kraj...
Wiatr szumi tęskno, żałośnie,
Liść już zapomniał o wiosnie,
Już szary zielony gaj.

Z zaświata—trąba zamieci
Zrywa się z liśmi i leci,
Jak chmura czyścowych dusz...
Po polach zwija obręcze,
Rwie z ciernisk sieci pajęczne
I kłoski ostatnie zbóż...

W powietrzu—chaos się żeni...
Wnet rośnie kraina cieni,
Państwo mgły zimnej i chmur;
Pędzą gdzieś w przestwór daleki
Lodowców i śnieżyc rzeki,
Łańcuchy ruchomych gór...

Słoneczko zgasło w mgieł toni;
Złotym się różem nie płoni
Najwyższy gór nawet szczyt;
I ptaków wędrownych krocie

Przeciągłym świstem w odlocie
Posępny żegnają świt...

* * *

W ziemskiej też krainie ducha
Mgła czasów ciężka i głucha
Zapada na serca rąj;
Chłodnym potopem zalewa
Wszystko, co kwitnie, co śpiewa...
Już wędnie młodości maj.

Wnet burza losów się budzi—
Porywa, jak liście, ludzi,
Ze szczytów strąca ich w dół;
Tłucze o drzewa, o skały,
Z pobitych podściela wały
Pod obręcz zwyciężkich kół!

Niebo bez słońka—szmat chmury—
Odbija czarny, ponury
Rysunek—bez liści drzew...
Zimno i ciemno, boleśnie;
Spoczynku niema i we śnie—
I w sereu zastyga krew.

Nadzieja w życia jesieni
Ożywym blaskiem promieni
Już tylko od krzyża stóp;
A marzeń lotnych gromada
Codzień ze słońcem zapada
W świat nowy—przez grób—za grób...

Stefan z Opatówka.

U DOMOWEGO OGNISKA.

Jedną z najważniejszych przyczyn tego ruchu nowożytnych czasów, zowiącego się emancypacją kobiety, stała się myśl, że kobieta ta oddana pracy cichej, pracy u domowego ogniska, zajmuje wśród ludzkości miejsce niższe, stracona do tych drobnych zajęć codziennego życia nie zostawiających po sobie żadnego śladu, nie zaznaczających się żadnym szlachetniejszym trudu ich owocem. Czy tak jest przecież i gdzież wśród biegu powszedniego istnienia szukać rzeczy wielkich, rzeczy wybitnych, czyż wreszcie wszystek trud tych ludzi, którzy znoją się do gorących kropli potu na czole, którzy pracują posłuszni obowiązкови, biorąc za nakazem praw boskich i społecznych, brzemie swoje na ramiona, przepada marnie, nie przynosząc nic ludzkości i im, którzy wśród tej ludzkości żyją? Mędrzec starożytny kazał człowiekowi iść do mrówki i uczyć się od niej tej pracy, która przez znoszone cierpliwie pyłki i atomy mrowisko buduje, ale obok tego wszelka praca ludzka ma jeszcze znaczenie inne nad tworzenie z cząstek małych całości wielkich na użytek własny i bliźnich swoich — ma ona, powiedzieć można śmiało, nieśmiertelność w czasie i przestrzeni.

Jeden z pisarzy francuzkich, Juliusz Janin podobno, podróżując jeszcze młodzieńcem po Bretanii, znalazł się raz w miejscowości nadmorskiej, odległej od ruchu gościńców bitych, a zwiedzając ją został uderzony strukturą bardzo starożytnego kościoła, zbudowanego z ledwo ociosanych łomów granitu, a otoczonego cmentarzem rozległym, którego grobowce zarosłe bujną zielenią traw i zielsk różnych, przedstawiały dla oka widok dziwnie smętny. Natura brała już w posiadanie swoje to

miejsce ostatniego spoczynku ludzi, którzy przecie żyli niegdyś życiem czynnym i pracowitem; czuli, myśleli, trudnili się dla idei, dla narodu swojego, bo na splekanych płytach kamieni, na zwalonych kolumnach, dawały się jeszcze dostrzegać herby rodzin rycerskich: miecze, tarcze, godła wojowników, gdy wzdłuż muru otaczającego cmentarz, wśród ostu i bylicy, wśród samorodnych krzaków różnych: cierni, głógów, widniały pewne podniosłości, wzgórki drobne, kryjące prochy kmieci, rolników pracowitych, których czoła rosły się znojem gorącym przy pracy swej cichej na chleb dla ludzi i młodzieniec uczuł się mocno wzruszonym. — Tak to więc trudy, pracę całych pokoleń ludzi, znojących się do gorącego potu na czołe giną w zapomnieniu!.. zawałał z goryczą. Nie zostaje po nich nic, śladu żadnego, i tylko garstka pewna wynieść się może nad tę otchłań niepamięci, niewdzięczności ludzkiej...

— Nie... odparła matka, kładąc mu rękę na ramieniu. W ludzkości, tak jak w naturze nie ginie, nie przepada, wszystko ma tu nieśmiertelność swoją i działalność, choć niedostrzegalną dla oka. Nikt z tych nieznanych robotników w winnicy ludzkości nie przepadł dla niej z chwilą położenia się w grobowiec, bo pole, które wydarł dzikiej naturze i wypełnił z chwastów, rodzi teraz obficie, znojem czoła jego podlane, i tak jest na wszystkich punktach i stopniach pracy ludzkiej. Czyż ja — to jest najdoskonalsza cząstka istoty mojej; bo moja myśl, moje przekonania nie będą żyły w tobie, choć pójdą na taki odpoczynek grobowca, jak ci, którzy tu spoczywają?

Oto jest odpowiedź tym niezadowolonym, którym życie pracy w rodzinie zdaje się czemś niższym i małego znaczenia. Matka nie tylko fizycznie daje życie dziecku swemu i słowa Ewy: — Otrzymałem człowieka przez Boga... będą wiekiście prawdą w historii ludzkości. Humorystyczne niby słowa Krasickiego: — My rządym światem a nami kobiety... nie są zupełnie żartem wesołym. Ognisko domowe wywiera wpływ wielki na męża, ciepło tego ogniska grzeje mu serce a miły, cichy tu odpoczynek pokrzepia go i zdawia w nim siły do pracy na tem jej polu szerszem, które nazywa się krajem, społeczeństwem. Nikt nie dźwignie nad siły i mąż, który zmordował się zarabiając na chleb rodziny, na jej dobre imię i szacunek u ludzi, co jest najważniejszą częścią sukcesy, jaką powinien zostawić po sobie, ma prawo odetchnąć tu atmosferą ożywczą, łagodnie go wzmacniającą i występuje tu na jaw głęboka filozofia starej nazwy: połowica. Połowę tego zadania, które spełnić się przezeń powinno potrzebuje on jej zwierzyć a ona obowiązana jest dźwigać je i dlatego chińczycy w symbolicznym słowniku swoim przedstawiają małżeństwo — żonę i męża, przez parę wołów ciągnących razem plug jeden, którym orzą we dwoje niwę życia pod zasiew szczęścia i obowiązku, nie ograniczającego się jedynie do doli lub niedoli ich dwojga. Po za ich osobistym szczęściem, po za ich spełnioną względem siebie powinnością, są jeszcze dzieci, jest społeczeństwo. Ile jest dobrych, uczciwych, szlachetnie pojętym istnieniem żyjących w niem rodzin, tyle jest ognisk, roznoszących wkoło siebie ciepło i to światło rozjaśniające drogi ludzkiego bytu, które się zowie cnotą, moralnością. Czyż zatem najdumniejsza, najmocniej wyższej działalności spragniona kobieta, może tu jeszcze czuć się nie zadowoloną z losu swego, z zadań na dział jej przypadających?

Kobieta matka pracuje dla nieśmiertelności, bo jest filiacja pojęć, jest sukcesya cnot i jak z krwi czystej rodzą się istoty zdrowe, istoty silne, tak zasiew uczuć i pojęć plonuje w życiu i czyż może być wyższe, dostojniejsze zadanie, jak urabiać serca i umysły ludzkie? Wprawdzie nie wszystkie kobiety spotykają się na drodze życia z tem szczęściem słodkim, pozostaje wiele samotnych, o własnej sile dobijających się miejsca nie już do uczty życia, ale do pozyskania sobie kawałka chleba, gdyby przecie wróciła dawniejsza prostota obyczajów, gdyby formy życia były tak skromne jak niegdyś — gdyby kobieta nie oglądając się na to, co przemysł nowoczesny wytwarza, stała się gospodarną po dawnemu — po dawnemu

skromną w gustach i oszczędną, wróciłby i dawniejszy życia porządek. Przez matkę i żonę pracowitą, wychowującą dzieci w pojęciu, że każda praca uczciwa jest dostojną, bo przedstawia siłę woli działającą w kierunku prawym, ułatwiałoby się życie u ogniska domowego a zarazem ułatwiałoby się możność zdobycia tego, co jest najwyższem a może jedynie prawdziwym szczęściem cichem, spokojnem a w trwałości swojej najgruntowniej zapewnionem.

Szczera, do głębi serca zestępująca spowiedź tych dumnych, którym oddzielność prac, przeznaczeń życia kobiety i mężczyzny zdaje się starym przesądem, wykryła by prędko prawdę, i wykażała, że im źle, że im ciężko żyć tem życiem nie-naturalnem — że są niewątpliwie różnice tak zdolności jak i zamiłowań kobiety i mężczyzny, są zatem i różnice sił w rozmaitych ich wywarcia odmianach. — Cóż przecieź robić mamy ze sobą?.. zawołała by z goryczą niejedna z pośród tych emancypowanych mężyc. — Szukamy pracy, bo jej potrzebujemy, aby żyć i jakże inaczej my samotne, możemy ostać się wśród świata? Niejeden słysząc taką odpowiedź zadumał by się posępnie nad tem do rozwiązania trudnem zagadnieniem, które przecieź głębsze wejście w życie dało by prędko znaleźć.

Trzeba skalę używania, trzeba sposób życia rodzin zmienić — trzeba wrócić do starej gustów skromności, do oszczędności starej, do tej gospodarności kobiecej, której wyroby zaopatrywały przeważnie potrz by rodziny, a wtedy będzie mniej kobiet samotnych, bo mężczyzna śmieiej przystąpi do zbudowania sobie ogniska domowego przy którym towarzysza jego współ z nim pracować będzie, choćby po dawnemu jak rzymianka stara domu strzegąc, wełnę przędła. Lepiej, cieplej, wygodniej jej tam będzie w sukni z samodziela, niż teraz samotnej, wiodącej istnienie nie-naturalne, a jakżeż ciężkie, jak smutne choćby w termolamie...

Przemysł nowożytny następuje niewątpliwie na pracę kobiety domową, ale rozumna potrafi się temu rozsądnie oprzeć, co tylko można własną siłą w domu wytwarzać i zbytek wszelki, a nawet pewne estetycznego smaku pokusy od siebie prece odtrącić — uczynić wreszcie wszystko co jest godziwym, ponieść wszelkie ofiary, aby tylko wśród ciężkich chłódów, wśród ostrych wichrów życia grzać się mogła u ożywczego ciepła domowego ogniska.

M. Hłucka.

ALFRED TENNYSON.

(Dalszy ciąg).

Tennyson umiał dużo i umiał gruntownie. Znał w oryginalne wszystkich klasyków starożytnych i początkowo tłómaczył ich nawet w wyjątkach, co zyskało mu pierwsze laury poetycznej sławy między współtowarzyszami nauk i patent na poe, przyznany nawet przez professorów. Zaden z pisarzy nie był szczęśliwszym od niego pod względem zachęty, uznania, a nawet natura inna, z mniejszą równowagą duchową, mogłaby źle wyjść na tem — mógłby był oderwać się od nauki i oddać przed czasem tworzeniu; ale pewien rozumny statek należał do szczęśliwych rysów jego charakteru, nie popadł też Tennyson w tę zasadzkę, zgubną dla niejednego. Dwa lata upłynęły, zanim po pierwszych jego poezjach ukazały się znowu w druku wyjątki z klasycznego poematu „The Lower's Tale“ napisanego w 1828 r., który przecieź drukowanym był w całości dopiero w 1879 r., co dowodzi, jak poza poetą krył się w nim człowiek rozważny, silnej woli. Było w tem i coś dumy, ale dumy szlachetnej; na kierunek jego twórczości oddziaływał wtedy wpływ Shelley'a, lecz jedynie wpływ jego uczuć i myśli, a nie formy, którą Tennyson zdobył sobie od razu, doskonale

oryginalną, swoją własną. Wydane w 1830 r.: „Poems Chiefly Lirical“, zawierały wiele rzeczy pięknych, które pozostaną w literaturze angielskiej; lecz tu spotkał się z pierwszym cierniem krytyki, drakowanej w czasopiśmie wyższego literackiego znaczenia „Blackwood Magazine“.

Zarzucano mu drobność, brak wyższego polotu — spojrzenia na świat i ludzi z tego wierzchołka Olimpu, na którym stanąć powinien poeta, aby powszednie drobiazgi życia zniknęły mu przed wzroku, ale była to chwila drażliwa, w której krytyka angielska występowała przeciwko wzmagającemu się kierunkowi tak zwanej „Cockney School“ — szkoły mieszczańskiej, która po wielkich poetach, po wielkich romantykach przeszłości, zaczęła ściągać angielskiego czytelnika na niski poziom codziennego życia bez ideału, a raczej z temi drobnymi ideałami, które nie dopuszczają objawienia się wielkich — nie dadzą podnieść się człowiekowi ponad dobrze procentującą się praktyczność.

Nie zrozumiano Tennysona. Tkliwość jego uczucia ogarniała i tego powszedniego człowieka w sprawach jego życia, toczących się tuż przy ziemi, gdzie przecieź człowiek ów czuje też i myśli, gdzie zatem są radości i zachwyty, smutki i rozpacz, a w miarę jak blaski i cienie jego własnego istnienia dały mu zdolność głębszego wejścia w życie, zdolność realnego a przecieź z podkładem ideału malowania życia wzrastała w nim, znajdowała sobie coraz doskonalszą formę wyrazu. Dwa tomy poezji, wydane w 1833, a zawierające między innemi wdzięczny bardzo poemat: „The May Queen“ (Królowa Maju), „The Dream of Fair Women“ (Sen pięknych kobiet), „Oenone“, dały mu już to uznanie czytającej publiczności, która towarzyszyła mu do dni ostatka, co przecieź nie uczyniło go nigdy zarozumiałym. Była w naturze jego rzadka powściągliwość autorska. Tworzył, pisał nieustająco, tworzenie zdawało się stanowić część jego istnienia; przecieź blisko przez lat dziesięć drukował bardzo mało i dopiero w 1824 r. nowe wydanie jego poezji, w którym mieścił się poemat: — „The Two Voices“ (Dwa głosy), dało mu to uznanie, które nie opuściło go już nigdy. Pewien łagodny mistycyzm przy wielkim wdzięku melodyjnego słowa pociągał tu czytelnika, który odbierał tę naukę, że człowiek musi z zaświata brać sobie pomoc, aby życie nie było mu przygniatającym barki ciężarem — nie było nocą ciemną bez gwiazd i księżyca. Wordsworth, ten melodyjny śpiewak piękności natury, którego wiersz był muzyką, zachwycał się przecieź wdziękiem użytego tu rytmu i przepowiedział młodemu poecie przyszłość, jaką osiągnął. „Dokona on wielkich rzeczy, a powinien być zrobić już więcej, niż uczynił“ napisał, a ta pochwała i nagana zarazem podziałała szczęśliwie, może dodała młodzieńcowi odwagi; poemat jego, który się ukazał wkrótce „Morte d'Arthur“ postawił go od razu w rzędzie pisarzy wyższego znaczenia. Przepiękne, pełne słodkiego wdzięku sielanki: „The Idylls“ i poemat „The Holy Grail“ wywołały tak jak i jego poprzednie utwory, wielkie pochwały obok drugostronnie wielkich nagan. Musiało tak być, bo młody poeta wnosił w literaturę angielską nowy żywioł; przecieź można to już było uważać za zwyczajne, jak też było rzeczywście, bo tylko rzecz wyższego znaczenia może wywrzeć takie wrażenie, poruszyć tak umysły.

Przyznano mu też narodową subwencję: 200 funt. ster. rocznie, przecieź równocześnie Bulwer uderzył na niego w „Nowym Tymonie“ ciężką satyrą wymierzoną tak przeciw poecie, jak przeciwko pensjonariuszowi korony. „Nie takim-to poetom należy się pomoc narodowa“ napisał; Tennyson odpowiedział przecieź bardzo spokojnie, z godnością wielką i wygrał sprawę wobec publiczności angielskiej, która odezwała się w sens naszego poety, że „nie tylko życia jesień dobrze myśli, dobrze czuje“. Poemat „The Princess“, który wkrótce potem ukazał się w druku, nie przechrzył przecieź szali sądu na jego stronę, aż drukowany zaraz wkrótce wiersz: „In Memoriam“, poświęcony pamięci młodzieńca, zmarłego o pierwszym poranku życia, zyskał wielkie i ogólne uznanie dla jego talentu: — Co życie dać może?.. to było założenie poety. Daje ono smutki i zawody,

daje pracę ciężką, ale otwiera człowiekowi pole działania, poświęcenia, ofiary — każe sercu bić, każe myśli sięgać wysoko, aż do Boga, aż w nieskończoność, i to zawsze, na każdym punkcie ziemi, w każdym życia położeniu. Razem młodzieńcze, stający do pracy życia wołał dumnie, jak nasz poeta: „I swoich czasów śpiewak nie obwinia...“ a publiczność przyklasnęła gorąco tej młodej odwadze, temu śmiałościemu pogładowi na życie, w które on zapragnął tylko wnieść żywioł szlachetniejszy, niż zabieg o dobrobyt, niż egoistyczne zadowolenie jednostki na własny tylko istnienia rachunek.

Tej idei poświęcony też został, napisany wkrótce, poemat „Śmierć Artura“, tej idei poświęcał on w ogóle wszystkie poezje swoje. Wyższe, niższe, jako utwory literackie, technologicznie zawsze miłością czystego piękna, a poemat „Dwa Głosy“ zawiera w sobie wysoki, szlachetny pogląd na znaczenie cierpienia w życiu ludzkim. „The discipline of sorrow“, karność smutku, jak się wyraża ten poeta łagodny, wyrabia w człowieku moc ducha, daje mu wyższy, sprawiedliwszy pogląd na to, co jest w istnieniu ludzkim prawdziwą jego wartością i stary nasz axiomat: „Kogo Bóg kocha, krzyżki mu daje“, jest tu szlachetnie, wzniosłe dowodzony. Kto chce kochać, cierpieć musi — i poeta angielski zbiega się tu z Mickiewiczem, że nie zazna słodyczy w niebie ten, kto na ziemi nie doznał gorczy ni razu...

W 1850 r. zaszły w życiu Tennysona dwa ważne wypadki: ożenił się i otrzymał przyznana sobie najwyższą w Anglii urzędową godność literacką: został po śmierci Wordswortha poetą-laureatem, co jednak obok zaszczytu nakładało na niego i obowiązki pisywania okolicznościowych wierszy na wszystkie wielkie uroczystości, nie tylko państwowe, ale i dworskie. Że przecież królowa Wiktoria jest wysoce szanowaną i kochaną przez swój naród, że Anglia solidaryzuje się szczerze z rządem swoim, nie było tu więc przymusu, i to tylko mogło ciężce przecie, że trzeba było tworzyć na termin i przedmiot dany. — Krzyż jak czajka, nie przyjdzie bajka... powiedział mądrze Krasicki i obowiązki przejęcia się natchnieniem poetycznym w danej chwili i na dany przedmiot stanowić musiał pewnego rodzaju przymus. Przecież wszystko, co napisał Tennyson w zakresie obowiązku było, jeżeli nie dziełem wyższego natchnienia, to w każdym razie nie przynosiło ujmę poecie i człowiekowi, a nawet oda witająca przyszłą królową Anglii w świeżo zaślubionej księżnie Walii należy do rzędu prawdziwie szlachetnych, wyższych utworów poezji: jednak w ogóle ten poeta uczucia, malarz uroków natury i eichych, słodkich uczuć u domowego ogniska, nie był tu w żywiole właściwym sobie. Wkrótce potem ogłoszone drukiem „Śielanki Króla“ to jest cykl legend z bajecznych dziejów Anglii, z czasów króla Artura, nagrodziły czytelnikowi to, co było w poprzednim dziele poety dobrze wyglądaną, rymowaną prozą.

Czasy rycerskie odżyły teraz pod jego piórem z całym swoim poetycznym urokiem. Romantyzm nie mógł mieć wdzięczniejszego, szlachetniejszego przedmiotu nad te obrazy walk, poświęceń bohaterów, enót wzniosłych, dążeń do ideału, któryby uczynił ludzkość mężną i wspaniałomyślną, nad interes własny podniesioną, żyjącą na rachunek idei wzniosłej. Poeta, traktujący taki przedmiot, już staje się wysoce zasłużonym, że go podniósł i choć czasem piersi jego braknie tchu, na oddanie tak górne, jak przedmiot tego wymaga, obrazu ludzi, którzy chodzili zakuci w stal, między duchami niebieskimi szukali przewodników swoich, a piękność kobiety przebóstwiali przez uszanowanie jej w urok uszlachetniający namiętność samą; niemniej rzecz jest niepospolitą przez myśli wzniosłą, przez piękność poetycznego stylu. Walkę uczucia z powinnością przedstawia zawsze poeta w świetle podniosłego pojętego obowiązku, — a że było to prawem w jego własnych przekonaniach, że było to zawsze prawem w historii jego życia, obrazy więc kreślone w poezjach, które tworzył na tym podkładzie, mają w zarysach swoich siłę, mają obrazowość niepospolitą. Do najdoskonalej oddanych obrazów uczucia i stanu ducha ludzkiego w starciu z namiętnością zaliczyć trzeba poemat: „The

Passing of Arthur“. Walka uczuć sprzecznych w chwili, gdy nadzieja szczęścia znika wobec spełnionego obowiązku, posiada piękności niepospolite i choć wyraz ich nie ma tej siły namiętnej, tej porywającej obrazowości Byrona, na przykład, jest tu poezja prawdziwa — taka, jaka się rodzi ze stanu uczuć ludzi szlachetnych w chwilach życia podobnych. Cała grupa Idylli przedstawia podniosłe kreślone, prawdziwe, głębokie uczucie, które przeważa nad namiętnością i zmusza ją do milezenia, a spokojna we wzniosłości swojej piękność tych obrazów, bez porywających, wstrząsających efektów: „Enoch Arden“, „Holy Grail“, „Aylmer's Field“ została znać odczuta przez czytającą publiczność, bo dwa pierwsze wydania zniknęły prędko z półek księgarskich i dotąd dzieła te są wciąż tak pokupne, tak popularne, że rzadko domu wśród inteligentnych klas angielskich, gdzieby ich nie było.

Czy to nie dość, aby poeta czuł się słodko zadowolonym, czuł się użytecznym, potrzebnym narodowi swojemu?

(Dokończenie nastąpi).

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

W chwili jednak, w której już ma położyć rękę na dzwonek, przychodzi mu na myśl:

— Po co ty właściwie tam idziesz?... aby zanieść książki do oprawy?... wiesz przecie, że to nie prawda, że ci o książki chodzi tyle, co psu o piątą nogę. Idziesz dla dziewczyny; zacięła cię, więc idziesz obejrzeć ją, jak coś ośmliwego, spojrzeć w jej ładne oczy, wyciągnąć ją na słówka i spróbować, czy ci się nie uda pobawić trochę. Ale co ci z tego przyjdzie?... nie. No, ładna jest, to prawda, lecz ładnych jest tyle; żebyś za każdą ładną chciał biegać, toby ci nóg nie stało. Wiesz co, szkoda zachodu. Daj pokój i nie zaczynaj wcale; nie warto.

Myśląc to, przygląda się klamece mosiężnej, jak gdyby w niej odkrył niespodziewanie jakiś bardzo ciekawy zabytek.

— Przypuść nawet — powiada sobie dalej, — że ci się dziewczyna jeszcze lepiej podoba, niż za pierwszym razem, no to i co z tego?... Przecież nie będziesz z nią romansował, nie potrafisz jej zbałamucić, nie zechcesz się ożenić. Jeszcze czego!... a no widzisz, że to znajomość bez celu, wcale ci niepotrzebna, a ostatecznie fatygująca choćby przez to drugie piętrowo, na które będziesz musiał iść. Daj pokój!... to nie dla ciebie.

Zdaje mu się, że jest przekonany własną argumentacją i już się zwraca, aby zejść znowu po wschodach, rezygnując z bliższego poznania Geni, które prędzej czy później znudzi go z pewnością, jak go tyle rzeczy już w życiu znudziło, gdy nagle do ucha jego dochodzą dźwięki fortepianu czy pianina u Pawłockich.

Ktoś zaczyna grać „Du bist die Ruh“ Schuberta. Ta niespodzianka zadziwia go.

— No, patrzcie, tam mają fortepian! widocznie jest ktoś muzykalny w domu.

Przysłuchuje się i znajduje, że ten ktoś gra z wielkim uczuciem, że ma uderzenie miękkie, delikatne, szczególnie w pianisimach, trochę tylko rozwalnia tempo, jakby przez ostrożność, by się nie pomylić i nie wzięść fałszywego klawisza w akordach.

Gajski opiera się o poręcz przy schodach i przypatruje się teraz już nie samej klamece, ale ca-

łym drzwiom Pawłockich, jakgdyby był stolarzem lub lakiernikiem.

Ta muzyka go mimowoli zajmuje; dałby wiele za to, gdyby się tak w ścianie zrobiła szpara i gdyby przez nią mógł zobaczyć, kto tam gra.

Któżby inny, jeżeli nie ona?... przecież nie matka, ani ojciec, ani żadne z dzieci.

Ale jeżeli to ona, w takim razie można jej powinszować.

Jest coś w jej grze takiego, co ogarnia słuchacza dziwnym urokiem, jakiś nieuczony, wrodzony, naiwny artyzm i intuicya.

Jaki spokój i cicha melancholia płynie w tej pieśni!.. chciałoby się głowę podeprzeć na dłoni, oczy zmrużyć, wtulić się w jakiś ciemny kącik i wdychać.

Gajski nie przyznałby się do tego, ale ma uczucie, jakby go coś głaskało po sercu przy tej muzyce.

Nie myśli już o tem, aby wracać do siebie, ale nie dzwoni też dlatego tylko, by nie przerywać grania i stei podedrzwiami, uśmiechając się tylko, jak człowiek, któremu coś sprawiło przyjemność.

Co za szczęście, że go ani Grotwicz, ani Mielecki, ani żaden z jego przyjaciół nie widzą w tej chwili, słuchającego na schodach pieśni Schuberta!..

Grotwicz przecież jest także muzykalny, niby to grywa na fortepianie, ale jego ulubionym kompozytorem jest Bach, którego Fugi młóci palcami w rytmicznym tempie sieczkarni bez wszelkiego cieniowania, równo, ostro, sucho, a tak mocno, że omal z klawiszów wióry nie leca.

Gra jego sprawia wrażenie, jakgdyby jakiś mechaniczny automat nakręcony, młoteczkami zamiast palców bębnił po klawiaturze.

Nienawidzi melodyi, która według niego jest głupią i pretensjonalną; z tego względu uznaje tylko „rzeczy ciężkie“, mięsiste, rąbane.

Schubert jest dla niego mdły, jak różanny likier, Schumann narwany, *mente captus*, a Chopin po prostu nieznośny, bo sprawia na nim wrażenie, jakby go kto mokrem piórkiem łechtł po grzbiecie.

Operę nazywa śpiewanym idiotyzmem; Wagnera jednego może jeszcze słuchać i to tylko w układzie orkiestrowym, nie na scenie.

Dla swojskich kompozytorów bez wyjątku ma pogardę, bo to wszystko „galareta“, kości im brak i mięsików.

Mielecki zaś wcale nie ma ucha, lubi tylko śpiewać swoim zachrypłym basem krakowiaki ludowe, w których zaledwie kilka tonów odróżnić można; zresztą chodzi mu w nich głównie o słowa, nie o melodię.

Tych „masnych śpiewek“ nauczył się mnóstwo i kiedy jest w dobrym humorze, recytuje je z rubasznym swoim śmiechem przyjaciółom na wieczornych zebraniach, a Grotwicz wtedy powtarza:

— O, widzicie, to mi jest poezja szczerą, prawda, realizm, natura, a nie jakieś tam fidrygałki, truli-luli, wlaż na gruszkę, kopał pietruszkę!..

Gajski w tej chwili nie myśli o niczym innym, tylko o muzyce za ścianą i sprzeniewierza się mimowoli teoryom swego mistrza; pieśń Szuberta podoba mu się, a słuchając jej, mówi sobie:

— Ciekaw jestem, czy ona ma ładne ręce? powinnaby mieć ładne, skoro tak delikatne ma uderzenie. Musi być trochę sentymentalna, choć na to nie wygląda...

Z przeciwnej strony od warsztatu otwierają się drzwi nagle i wypada z nich dwóch chłopaków bez czapki z rozczochraną głową; młodszy w niebieskiej bluzie stara się za kołnierz uchwycić starszego wyrostka, który z miną zadowolonego łobuza wymyka mu się i wprost na schody dąży w lisich skokach.

Przed chwilą dużym pędzlem zaklajstrował z żartów całą gębę swojemu towarzyszkowi przy falcowaniu arkuszy, korzystając z tego, że tylko sami we dwóch byli w warsztacie, bo przecież bez figlów nudno siedzieć przy robocie; trzeba się czemś rozzerwać od czasu do czasu.

Ślady tej rozrywki widać na brodzie i na nosie młodszego chłopca, który nie miał czasu obetrzeć lepszego klajstru i usiłuje wpierw wykuksować

porządnie i sółkami odpłacić się swojemu prześladowcy.

— Poczekaj Wicek, jak Boga kocham, pójdę zaraz na skargę do panny Geni!... — woła — ja ci pokażę, ty bakul... ty dryblasie!...

Obecność Gajskiego w sieni nie powstrzymuje ich zapaleczywych zapasów na kulaki.

Wicek zajął obronną pozycję, oparłszy się plecami o ścianę i aby nie dopuścić do siebie szturmującego przeciwnika, choć się od śmiechu zanośsi, mlynkuje w powietrzu pięściami i kopie jedną nogą przed siebie, wołając:

— Józiek ani się waż, ani się waż, bo cię posiniaczę na fiole!...

Nagle obaj opuszczają ręce i przybierają miłą poskromionych niedźwiadków; w otwartych drzwiach stała wywabiona do sieni krzykami panna Genia i schmurzonym wzrokiem kareci chłopaków:

— Co to jest?.. cicho mi zaraz!... znowu zaczynacie ze sobą?... zaraz mi do warsztatu!... Wicek, toś ty mi tak przyrzekał poprawę?... coś mu zrobił?...

— Zamalował mi głowę! — płaczącym głosem objaśnia poszkodowany, pokazując palcem oczywiste dowody tego na swej zamorusanej facyacie—o!...

Wicek podobny jest w tej chwili do ugotowanego raka, poczerwieniał ze wstydu schwycony na gorącym uczynku.

— To nieprawda, proszę panienki — próbuje się tłumaczyć—bo... bo... bo to on sam natknął mi się na pędzel, chcąc mi dać w zęby. Ty łgarzu, czemu nie mówisz, jak było?...

Sledztwo przerywa się z powodu obecności obcego pana, którego spostrzegła Genia i domyślając się z książek pod pachą celu jego przybycia, odwraca się od chłopaków, pogroziwszy im palcem i uprzejmie uśmiechając się, pyta Gajskiego:

— Pan do nas?... przepraszam pana za tych nieponiów, ale już sobie rady z nimi dać nie mogę. Proszę, niech pan będzie łaskaw do pokoju...

Do chłopców, zaś mówi przyciszonym głosem, rzucając im spojrzenie pełne wyrzutu:

— Wstyďte się!... zaraz mi do roboty!... potem ja się z wami rozmówię.

Wicek z miną skruszoną pociąga nosem i usiłuje pocałować w rękę zagniewaną panienkę.

— Ja już nigdy więcej...

Józiek nie chce być gorszym, zamasyście szura nogami, kłania się niezgrabnie ale z wielką atencją, jakby chciał tem wyrazić swą wdzięczność panience za wzięcie go w obronę i cmoka ją nabożnie w łokieć.

— Bo ja proszę panienki nigdy pierwszy nie zaczynam, nigdy!... niech powie! — zapewnia ją z taką szczerością, jakby się przed księdzem spowiadał.

Obaj wiedzą dobrze, że panienka jest ich najwyższą instancją w domu; co ona powie, jest ewangeliją. Na jej opinii zależy im najwięcej i poszliby za nią w ogień, co nie przeszkadza, że sprawiają jej ciągle kłopoty i przykrości swoim postępowaniem, ale też za każdym razem przyrzekają uroczystie poprawę i robią sobie wyrzuty, iż broją na nowo.

Albo jest lepsza panienka na świecie, któraby takiemu urwisowi, jak Józiek własną ręką uszyła bluzę, aby nie chodził jak obdartus?... która przez dwa tygodnie sama przemywała i opatrywała ucho Wicowi, kiedy mu się wrzód zrobił?... nie, niema na świecie lepszej panienki, tak, jak niema lepszego chlebobdawcy od pana Pawłockiego.

— Jak widzę—mówi właśnie Gajski do Geni, która wprowadziła go do pokoju i pełniąc obowiązki uprzejmej gospodyni, prosi go, by zajął miejsce na fotelu—to pani ma szczególniejszy dar poskramiania tych dzikusów.

— Ach panie, trzebaby to na łańcuszku trzymać, aby upilnować należycie, — odpowiada; — robi się wszystko, co można, by poskromić ich złe narowy i nauczyć czegoś lepszego, ale to tak trudno, tak trudno!... a przecież to odpowiedzialność za wychowanie takich chłopców. Z tego mają być kiedyś rękodzielnicy i majstrowie.

Gajski patrzy na nią i dziwi się, że ją przyszłość takich urwisów obchodzi i że ona się do odpowiedzialności za nich poczuwa.

— Zdaje mi się, że to trochę za ciężka praca i dość niewdzięczna,—powiada, uwagą swoją wywołując odpowiedź, która go jeszcze bardziej zadziwia.

— Ciężka, to prawda, ale niewdzięczna, tego nie powiem, bo przecież wychowanie człowieka pożytecznego w jakimkolwiek zawodzie, to chyba zasługa, zwłaszcza u nas. Czy pan nie jest tego samego zdania?...

To zapytanie jest dla Gajskiego trochę kłopotliwym, bo prawdę powiedziawszy, nigdy mu do głowy nie przyszło zajmować się kiedykolwiek taką kwestją, ale mimo to odpowiada:

— Naturalnie, to się rozumie — zwraca jednak rozmowę na temat książek, które przyniósł z sobą do oprawy.

— Pan chce to mieć oprawne w płótno i półtło i półskórkę? — pyta go Genia i rzucając okiem na tytuły, czyta półgłosem: „L'antichrist“, „L'église chrétienne“, „Vie de Jésus“...

Odsuwa jednak te trzy książki od siebie, jakby jej samo dotknięcie wydawało się nieprzyjemnem; ten ruch i wyraz twarzy dziewczyny zwraca wszelako uwagę Gajskiego.

— Pani, jak mi się zdaje, obawia się dotknąć Renana, — mówi do niej z uśmiechem, — czy pani zna może co z jego dzieł?...

Przypuszcza, że ją tem zapytaniem w kłopot wprawi, ale Genia spogląda mu prosto w oczy i odpowiada:

— Bogu dzięki, nie jeszcze.

— Dlaczego: Bogu dzięki?...

— Dlatego, że to lektura—o ile wiem — nie dla kobiet.

— To prawda, ale każdy umysł wykształceńszy...

Zatrzymuje się, szukając paradoksu, którym-by mógł zaimponować Geni, ona jednak nie słucha i dodaje w dalszym ciągu:

— Mojem zdaniem religia potrzebną jest każdemu człowiekowi, a kobiecie podwójnie; pocóż więc mieć sobie pojęcia i osłabiać dobrowolnie wiarę, skoro nie można jej niezem innem zastąpić?.. to tak, jakby człowiek błądzący w ciemnym labiryncie zgasił jedyny kaganek, jaki ma w rękę i dalej szedł po omacku.

Gajski ma wielką ochotę uśmiechnąć się z politowaniem, ale się powstrzymuje, bo przecież nie będzie się wdawał w dyskusję filozoficzne z jakąś tam Genią Pawłocką, która się kształciła zapewne na tytułach książek, jakie jej ojciec brał do oprawy.

— Pani dużo czyta?—zapytuje ją znienacka.

— Dość, ale nie porządnie, — odpowiada mu z szczerą otwartością; — u nas tyle książek się przewinie w ciągu roku, tylko że ich dobór zależy od przypadku. Z drukarni przysyłają ojeu do broszurowania rozmaite nowości, więc z nich korzystam. Z natury jestem ciekawa, ochoty by nie zabrakło, ale czasu nie ma na wszystko. Gdy byłem w gimnazjum, jakoś to łatwiej przychodziło znaleźć wolną chwilę.

— Pani była w gimnazjum?...

— A byłem, zdawałam nawet na patent, — dodaje z prostotą, bez przechwałki — i miałam zostać nauczycielką, ale odkąd mama tak ciężko choruje...

Urywa szybko w tem miejscu, tłumiąc westchnienie, które mimowolnie jej pierś podnosi i rzuca okiem na przymknięte drzwi, poza którymi w fotelu staroświeckim, otulona poduszkami i kołdrą, siedzi matka i mogłaby usłyszeć jej słowa.

Broń Boże, jeszczeby sobie je źle wytłumaczyła, a Genia przecież nie skarży się weale, że ta choroba pokrzyżowała jej plany, że zamiast nauczycielką, została w domu dozorczynią przy chorej.

— Mama pani zawsze cierpiąca? — pyta Gajski.

— O teraz mamie lepiej, znacznie lepiej; wkrótce będzie zupełnie dobrze. Doktor zapewnia, że za jakie dwa tygodnie wróci całkiem do zdrowia.

Mówi to z umysłu trochę głośniejsz, aby ją słyszeć było w drugim pokoju, bo wie, że te słowa chorej dodadzą otuchy.

Jest to jej sposób oddziaływania na matkę przez sugestię, sposób doświadczony przez nią tylokrotnie.

— Czy pan sobie życzy, aby wszystkie książki były oprawione jednakowo? — wraca znowu do właściwego tematu, który jest celem odwiedzin Gajskiego.

— Owszem, niech będzie jednakowo.

— Tytuły złożone na grzbiecie i zapewne inicjały?

— Tak, F. G. Franciszek Gajski.

Mówiąc to, pochyła się z lekka przed nią, jak-gdyby się jej jednocześnie prezentował.

— O ja mam przyjemność znać pana przecież z widzenia i z nazwiska. Pan Adam wspomina o panu dość często.

— Krempel?

— Tak, Dr Krempel.

Gajskiemu się zdaje, że przez jej oczy także jakby promień słońca przemknął, gdy wymienia nazwisko jego przyjaciela; zupełnie tak samo, jak kiedy Krempel o niej mówił.

Oboje się ożywiają na wspomnienie o sobie.

— Pani dawno zna Adama? — pyta, choć słyszał już dobrze historią ich poznania.

— O bardzo dawno!... jeszcze byłem w gimnazjum a doktor kończył właśnie medycynę.

— A mnie się zdawało, że to znajomość z balu.

— Tak, na balu pierwszy raz rozmawialiśmy z sobą, ale dawniej znałam go dobrze z widzenia. Spotykaliśmy się prawie codziennie, gdy wracałam ze szkoły, tylko jako podłotek nie zwracałam jego uwagi. Teraz zato, odkąd tak pocciwie zajął się mamą, bywa u nas niekiedy i dwa razy na dzień.

— Tak często?...

— Mama bardzo wierzy w niego i uspokaja się samym widokiem pana Adama. To taki zacny człowiek; ach jaki pocciwy, jaki dobry!...

No, no!—myśli Gajski — Adaś tu bywa po dwa razy dziennie a nie zdradza się z tem nigdy. Czyżby go tak bardzo zajmowała sama pacjentka?... to szczególne, że o Pawłockich wspomina tak rzadko i gdyby nie Zeno, byłby może ust nie otworzył.

— Pani lubi Adama?—rzuca jej niby niechęcący pytanie.

— Ach, któżby go nie lubił!—odpowiada dziewczyna niemal z zapalem. — To złoty człowiek!... my mamy mu tyle do zawdzięczenia!... Zresztą, pan go zna najlepiej, bo przecież panowie mieszkanie razem i przyjaźnicie się z sobą, od tak dawna.

Nie wiedząc czemu, Gajski uczuwa coś jakby zazdrość; te gorące pochwały dla Krempla nie sprawiają mu żadnej przyjemności.

Jeżeli po to tu przyszedł, aby się dowiedzieć, że Adaś to „złoty człowiek“, szkoda jego fatygi.

Czy oni się umówili, aby się wzajemnie przed nim wychwalać?.. co to jego obchodzi!...

O, stanowczo między nimi coś być musi; nie innego, tylko mają się ku sobie... Ale w takim razie wlaź pomiędzy nich, jak Piłat w Credo.

No, patrzcie, koby to powiedział, że ten Krempel taka skryta dusza?

Właśnie jeszcze o niego zamierza zadać Geni jakieś zapytanie, gdy w przedpokoju odzywa się dzwonek dwa razy i Genia idzie sama drzwi otworzyć.

— A to pan?—słyszby jej głos, witający przybyłego w otwartych drzwiach—proszę, proszę, znajdzie tu pan kogoś dobrze znajomego. Jest tu jedna śliczna panienka, którą pan zna dobrze. No, chodź konsyliarzu trudno, widocznie daliście sobie państwo rendez-vous u nas!

— Śliczna panna? — odpowiada głos Krempla w przedpokoju—to nie może być, bo ja znam tylko jedną śliczną pannę, a o tej chyba pani nie mówi, bo jej tam niema.

— A gdzie jest?

— A stoi tu przedemną.

— E, pan zawsze swoje; nie lubię takich żartów.

— A za prawdę się pani gniewa.

— To nie potrzeba nigdy mówić o tem.

Gajski słucha tej rozmowy i wyciąga z niej rozmaite wnioski; coraz bardziej nie podoba mu się stosunek tych państwa.

Jest przytem bardzo niezadowolony, że go tu Adaś spotyka i dałby wiele za to, żeby się mógł stać niewidzialnym; ale to trudno, doktor wchodzi

do saloniku i robi minę zdziwioną na widok przyjaciela, z którym przed kwadransiem zaledwie rozmawiał u siebie.

— Więc to to jest ta śliczna panna? — woła z uśmiechem — a, witam pannę. Cóż tu pani robi? — pyta, zwracając się do Gajskiego z tym dołym humorem, gotowym zawsze do żartów.

Gajski próbuje się śmiać razem z nimi, ale mu to jakoś nie idzie; stracił swoją swobodę i myśli o tem, aby się jak najprędzej wynieść. Krempel zaś po kilku słowach ogólnie zamienionych przestaje się nim zajmować zupełnie, podchodzi do Geni, bez ceremonii bierze ją za obie ręce i prowaździ do światła pod okno.

— No, co tam z nami słyhać? — mówi, wpatrując się w jej mizerną trochę twarzyczkę — jak mi się pani miewa?... nieszczególnie, prawda?... oczy podsińnię, usta blade, cera jak opłatek. Znowu się nie spało tej nocy?... Ja panią zabiorę gwałtem do kliniki do siebie, nie ma rady.

Genia spogląda na niego miłosiernie i daje mu znaki, aby milczał, wskazując głową na drzwi, poza którymi siedzi matka.

— Co też pan doktor sobie do mnie upatrył! — przerywa mu ze śmiechem, ale udanym — nigdy się zdrowszą i silniejszą nie czułam, jak teraz. Pan we mnie gotów wmówić, jak w Niemca, chorobę jaką.

Jakby na dowód zdrowia, oblewa się rumieńcem i wrywa mu swoje rączki, odwracając głowę zakłopotana tą głośną auskultacją.

Potrzeba tylko, żeby to matka słyszała!... ona i tak martwi się, że ta biedna Genia niknie w oczach i mizernieje przy niej z dnia na dzień.

— A jakże się mama czuje dzisiaj? — pyta doktor.

Dziewczyna odpowiada mu spojrzeniem zakłopotanym i wzrusza ramionami, ale głośno mówi:

— Zdaje się, że lepiej po wczorajszym ataku.

— Robiła inhalacyję?

— Robiła.

— I pomogło?...

— Niech pan sam się z mamą rozmówi.

Gajski, jako niemy świadek tej sceny, czuje się tu zbędnym, bierze za kapelus, żegna się i wychodzi, prosząc, aby mu książki odesłano, gdy będą gotowe.

Genia odprowadza go aż do przedpokoju i podaje mu rękę na pożegnanie, jak znajomemu, nie jak klientowi swego ojca. Traktuje go, jak przyjaciela pana Adama, uprzejmie i swobodnie.

To dziwne, że mu uścisk tej małej, ale muskularnej rączki, tak długo jakoś przypomina się po wyjściu od Pawłockich.

Przychodzi mu na myśl uwaga, że każdy człowiek ma jakiś odmienny, sobie właściwy sposób podawania ręki, który odróżnia się pewną indywidualną cechą, — i każda ręka inne sprawia wrażenie. Jedni sami zdają się chwytać podaną dłoń, drudzy pozwalają się tylko ująć; jedni uścisk oddają, drudzy sztywnie go tylko przyjmują.

Są ręce martwe, zimne, czułe, obojętne, podejrzliwe, szczere, fałszywe, nieśmiałe, energiczne, wytworne i ordynarne, nawet mądre i głupie. Każda niemal ma jakąś odrębną cechę, która stoi w związku z całym człowiekiem i uprzedza do niego źle, albo dobrze.

— Ta mała ma rękę przytulną, — konkluduje na końcu Gajski, chodząc po swoim pokoju i rozmyślając nad wizytą na drugim piętrze.

A jednak jest jakiś nie swój, coś mu humor zepsuło, coś mu równowagę zburzyło.

Sam nie wie dobrze, co to takiego, ale mu jest jakoś głupio.

— Nie pójdę tam więcej — mówi sobie; — co mam chodzić?... książki mi odeszły, zapłacę i historia skończona.

Jednocześnie uczuwa ochotę pogawędzić jednak dłużej z tą Pawłocką, posprzeczając się z nią nawet, porozbijać jej argumenta, wyciągnąć ją na dyskusję, bo ostatecznie o czem tylko zaczęli, to ona miała ostatnie słowo, a on się w nią wpatrywał, jak kozioł w wodę.

Musiał się jej nieszczególnie zaprezentować, zwłaszcza wobec takiego Krempela, który z nią jakoś tak bez ceremonii rozmawia, bierze za ręce, żartuje, śmieje się...

Frawda, iż znają się z sobą znacznie dłużej i że coś między nimi być musi; coś jest, to pewne, jak to, że teraz dzień świeci.

A to właśnie irytuje Gajskiego i gotówby żyć nawet jakąś ukrytą pretensją do Krempela, gdyby wiedział na pewno, że się kocha w tej małej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WĘDROWNE PTAKI.

(Dalszy ciąg).

Mrs Bishop korzysta z każdej sposobności do poznania czegoś nieznanego, bądź jej samej, bądź wraz z nią i całemu światu cywilizowanemu. Widzimy ją np. w Saïgon, gdzie parowiec na kilka zaledwie godzin się zatrzymuje. Puszczając się sama w głąb miasta uśpionego czterdziesto-stopniowym niemal upałem, zwiedza piękny klasztor, gdzie jej pokazują szkółkę dziewcząt miejscowych, wkracza do wioski zacienionych bambusami i pomarańczami, gdzie każda chata zda się być fortecą obwarowaną murem kaktusów; wstępuje do jednej z nich, gdzie ją kokosowym mlekiem ochładzają; gubi się w labiryncie drzew zwrotnikowych, przygląda się igraszkom bawołów, zachwyca wodami porośniętą lilią różową, zdaje sobie sprawę ze stosunków annamickich, z chińskiego najazdu; spotyka ludzi i ciekawe zawiązuje znajomości; skrwawione nogi musi chustami owiżywać; ginie od gorąca, które ją czyni wyrozumiałszą na więcej niż lekki strój tubylców — nareszcie wraca na okręt, z umysłem wzbogaconym mnóstwem wiadomości, ze wzrokiem olśnionym czarownymi widokami i duszą wrażeniami upojoną.

Używa też pełnemi piersiami daru życia. Ani dostrzedz pesymizmu w onych słonecznych obrazach i odbiciach. Zapisuje Mrs Bishop np., że w tym lub owym dniu żywiej odczuła rozkosz życia, zrozumiała czemu wszystko w Przyrodzie uśmiecha się i śpiewa, a wraz zdało jej się, że sprawdza jakieś blizkie powinowactwo swoje z morzem, z ptactwem, powietrzem, z powiewem wiatru..

I znów na poważniejszą nutę strojąc swe pióro, niby lutnia wdzięczne, — po latach zasłużonego wytechnienia, puszcza się w 1890 r. do Persyi i Kurdystanu, nie daje się odstraszyć twardą zimą i mrozem, przebiega to pogodniejsze, to smutniejsze strefy, zawsze z jednakim animuszem, ochotą i wesołym *humour*em, który jej pozwala w najkompletniejszy sposób przedstawiać komiczne nieraz przygody i sytuacje.

Ale czas już inne z kolei poznać turystki. Pani Bridges wgląda przypadkiem w tajniki buddyzmu. Maż jej zwiedza Tybet chiński; żona tymczasem znajduje gościnność i przytułek zimowy w klasztorze lamajskim, gdzie jej udzielają ciekawych szczegółów o życiu i religijności, o obyczajach i stosunkach społecznych owych stref dalekich. Z pewnych zwrotów stylu możnaby w pani Bridges odgadnąć stowarzyszoną wolnych mularzy siostrzycę.

Inną jest podróż po Indjach pani Howard Vincent. Urzędowa to przejażdżka: wysoki urzędnik policyjny wszędzie bywa gościem pałaców rządowych. Pani Howard Vincent ze słuszną dumą zagaja swój pamiętnik zdaniem, iż nie jest to podróż około świata, lecz wędrówka poprzez ogrom angielskich posiadłości. Najwybitniejszym znamieniem jej wspomnień jest wysokie poczucie piękna architektonicznego. Nikt lepiej nie widzi, nie określa, nie maluje cudów budownictwa indyjskiego. Piękny opis *Tadżu*, tego marmurowego poematu miłości, wznoszącego się w Agra, pozwala czytelnikom wyrozumieć okrzyki zachwytów przeróżnych podróżników, którzy wobec tego arcydzieła gotowi są powtarzać słynne: *e poi morir* zatoki neapolitańskiej.

Nie przekraczamy sfer urzędowych, za panią Alicją King mierząc niewypełnioną przepaść,

dzielącą Zachód od Wschodu, i podbitych Hindu stańczyków od ich obecnych panów. Twierdzi ona na mocy wieloletniego doświadczenia, iż tylko pozory mylą, a na dnie sere tkwi niewypłeniona nienawiść do obcych najeźdźców, do chrześcijan i cudzoziemców.

Miss Mary Carpenter i w Indjach szuka sposobności do czynów miłosierdzia pojętych w wielkim humanitarnym stylu. W Indjach bada niedole dziecięce, potrzeby i krzywdy wydziedziczonych, usiłując na kresach państwa brytańskiego zaprowadzać szkółki ubogich, podnosić poziom wykształcenia kobiet, poprawiać urządzenia więziennicze; zamiast rozkoszować się widokami i cudami Przyrody, bada miss Carpenter tylko wstrętne rany i wrzody ubóstwa, zepsucia, niedoli, próbuje nieco słońca i powietrza wpuścić do *zenanów*, haremów hindostańskiego półwyspu. Szkoda tylko, iż sekciarskie uprzedzenia nie dają jej ocenić jak należy dobrodziejstw wyświadczonych już Indostańczykom przez katolickich misjonarzy i zakonnice.

Lady Dufferin znana jest czytelnikom *Bluszczo*, nie będziemy tu zatem powtarzali odgłosów z jej czynów z czasów, kiedy lord Dufferin był wielkorządcą Indyi Wschodnich. Stanowisko mężowskie pozwoliło jej tyle dobrych i pożytecznych rzeczy, bądź już dokonać, bądź też rozpocząć i przekazać następcom. I u niej góruje ten optymizm właściwy Angielkom, to wdzięczne ocenianie darów bożych i dobrodziejstw życia. Zapewne, warunki ich bytu bywają nieraz korzystniejsze, swobodniejsze od naszych przeznaczeń. Atoli, trudno zaprzeczyć, iż życie bywa najeźściej takim, jakim je sobie sami ukształtujemy.

Wnuczka lorda Byrona, lady Anna Blunt, wspólne z mężem podejmuje wycieczki na Wschód i dzieli z nim trud spisywania otrzymywanych po drodze wrażeń. Pilno małżonkom uciec od życia nadto *mózgowego* na Zachodzie. Czar Azji działa na ich dusze. Spieszą nad Eufrat, zapuszczają się w pustynię, ciesząc się, gdy im znikną w dali ostatnie ślady cywilizacji, a bezbrzeżny step ich ogarnie. Ażeby wszystko dobrze widzieć i uniknąć niebezpieczeństw puszczy, należy, zdaniem Bluntów, dobrze się zaopatrzyć w *arabskie środki*, a więc w cierpliwość niewyczerpaną, znajomość obyczajów plemion koczowniczych, zamilowanie tego, co one lubią, posiadanie tego, co one cenią, zatem koni, wielbłądów, namiotów, broni zbytkownej, bogatych tkanin. Potrzeba też nie mieć innego celu, okrom rozkoszy bujania po stepie, i t. p.

W Syrii spotkamy się z panią Burton, żoną wielkiego odkrywcy jezior afrykańskich, poszukiwacza źródeł Nilu. Pani Burton, której maż był niegdyś konsulem w Damaszku przez lat wiele, wtajemnicza nas w domowe życie mieszkańców Syrii, Palestyny i Ziemi Świętej. Kocha się ona w Libanie, marzy o powrocie w te góry, porównywała wciąż życie ludzką ręką urobione, z tem, które Pan Bóg stworzył, i to ostatnie równie miłuje, ile tamtego nienawidzi.

Pani Scott Stevenson przerzuca nas na wyspę bogini miłości, na wybrzeża Cypru, gdzie maż jej jest kommissarzem cywilnym. Zachwycona swem przeznaczeniem, nawołuje wciąż czytelników: „Jeżeli chcecie nowych szukać wrażeń, czarowne zwiedzać okolice, nie jedźcie do Indyi ani Ameryki, spiescie za mną w głąb Karamanii“.

Pani Walker znów nas nad brzegi Bosforu i do Azji Mniejszej przeprowadza. Artystka malarka, wzywana była często w głąb haremów dla udzielania lekcji rysunku lub robienia po tretów znamienitych Turczynek, a to pozwoliło jej niejedną tajemnicę zbadać lub odsłonić. Sumienne jej świadectwa rzetelną też mają wagę i znaczenie.

Oczywiście, wojna Sudanu i protektorat angielski w Egipcie namnożyć musiały nadniłowych pielgrzymek. Zpośród nich pierwszeństwo należy się podróży pani Speedy, która wraz z mężem w 1878 r., a więc jeszcze przed wojną Sudan zwiedziła. Zamilowanie myśliwskiego sportu przedewszystkiem tam zawiodło cheiwa łupów łowieckich parę. Acz uprzednio gościli oni w Bengalu i na półwyspie malajskim, państwo Speedy wyznają, iż nie znali upału, dopóki im w Sudanie nie dopiekl. „Gdzieindziej gorąco jest tylko rzeczą

nieprzyjemną; tam jest już bolesną męką, przepalającą na wskroś skórę i ciało. Nawet w noey termometr stustopniowy dochodzi niekiedy do 43°. Lwy, hyeny, krokodyle, hippopotamy, białe mrówki i wszelkiego rodzaju owady towarzyszyły zbyt wiernie śmiałym wędrowcom, których czekały razporaz zdumiewające niespodzianki i wrażenia. Wystarczy wspomnieć dziwną przygodę i zadziwienie państwa Speedy, gdy im pewien szeik, mieszkający na południe od Suakimu, objawił gotowość do pokazania swej gwardii przybocznej w odświętnych mundurach. Wystawić sobie można osłupienie gości europejskich, gdy ujrzeli przed sobą do pięćdziesięciu rycerzy z epoki Wojen Krzyżowych, w pełnej zbroi i rynsztunkach dla koni afrykańskich zbyt obszernych, widocznie dla rośniejszej przeznaczonych rasy. Jakim sposobem się tu dostały i zachowały owe średniewieczne zabytki, — nie zdołano się dowiedzieć. Przechodziły one z pokolenia na pokolenie jako szacowne przeszłości relikwie i skarby, i nikt za żadną cenę nie byłby uронił najmniejszej cząstki cenionych wielce pamiątek.

Pani Sartorius, małżonka generała, wpada w sam wir boju, opisuje nam drastycznie chaos wojny sudańskiej, winy organizacji i taktyki, a przede wszystkim odpowiedzialność tych, którzy, z Londynu kierując sprawą, zgubili Gordona i wielu innych. Książka pani Sartorius wkracza raczej w dziedzinę historii, sięgając poza kres zwykły wspomnień podróźniczych. Zresztą kraj Faraonów tak często bywa zwiedzany przez synów i córki Albionu, że niepodobna wyliczać tu wszystkich opisów Egiptu, które dorocznie się pojawiają w Anglii na półkach księgarskich.

Osobna wzmianka należy się Lady Duff Gordon, która dla zdrowia skazana na klimat egipski, po kilkuletnim nad Nilem pobycie zgasała w 1869 r. w Luxorze, gdzie dotąd podróżnym dom jej pokazują. Listy z tamtąd pisane nie kuszą się o opisy przyrody lub pomników przeszłości. Lady Duff Gordon przede wszystkim bacz na ludzkie sprawy i niedole, na krzywdy Fellahów i Arabów, którzy w niej budzili serdeczność i współczucie. Uboga nadniłowa ludność poznała się na szlachetnej przychylności cudzoziemki. Nie nazywano tu jej inaczej jeno *światłem światłości, córką kraju, mozną panią*. Znać w jej wspomnieniach patrycyuszkę zamłodu pięknem karmioną, które zmysł artystyczny zaostrzony służy znakomicie do oceniania stosunków miejscowych i orędownictwa za słabszymi i uciemiężonymi.

Samo już imię panny Amalii Edwards zdobyło sobie osobną powagę wśród egiptologów. Rzucając szlaki twórczości fantastycznej, utalentowana powieściopisarka oddała swe pióro na usługi starożytnego Egiptu, zmartwychpowstającego pod jej technieniem dzięki doskonałej znajomości przedmiotu i świetności stylu opisowego.

Nie braknie ptaków wędrownych po różnych krajach Europy, ale wymienianie wszystkich angielskich turystek po Szwajcaryi czy Bawaryi, Włoszech czy Hiszpanii, zaprowadziłoby nas zbyt daleko. Raczej wypada nam jeszcze wspomnieć kilka innych śmiałych podróźnic, które się na dalsze puściły wyprawy. Pani Junes maluje nam ciężkie losy rezydenta angielskiego przy malajskim państwie Durian Sabatany, na które się protektorat Wielkiej Brytanii rozciąga. Nie rozpaczliwszego nad ten ustronny posterunek, gdzie niebezpieczeństwo życia równa się życia nudom. Sama autorka, uderzona w głowę siekierą, o mało co nie ginie z towarzyszami swymi. To też po sześciu latach męki państwo Junes wracają złamani na duchu i ciele do ojczyzny, z postanowieniem nieprzyjmowania już więcej konsularnych dostojenstw w koloniach.

Pani Stenhouse z własnych doświadczeń kreśli poniżające obrazy Mormonizmu. Inne znów dwie Angielki, panie Leonowens i Lott, powołane zostają do przewodniczenia wychowaniu wschodnich książątek i znajdują się u źródła ciekawych spostrzeżeń, które wszelaką przerastają ich zdolności. Jedna za szumna, druga zbyt jest gminna w swych wspomnieniach, przynoszących czytelnikom pewne rozczerwanie. Pierwszą powołuje do swego pałacu król Syamu, aby jej powierzyć wychowanie

swych dzieci, których ma sześćdziesiąt siedmioro; a przytem jeszcze pragnie z niej mieć własnego swego sekretarza do rozległej korespondencji. I tego jeszcze nie dosyć: p. Leonowens ma uczyć angielskiego języka te z żon królewskich, któreby uczyć się chciały. Jak widzimy, stanowisko pani Leonowens nie miało być synekurą. Gdyby trochę więcej cierpliwości, spokoju i taktu, mogła ona sobie być zdobyć niemłą przewagę i wpływ. Ale wrażliwsza na ujemne strony i przykrości swego pobytu, zachwycała tylko cienie, zapomniała o korzyściach wysokiego położenia. Słaba nienawiść do Francji i Jezuitów, sekciarski zelotyzm uniosły ją zbyt daleko i popsęły stosunki na dworze syamskim, gdzie z odrobiną zręczniejszej dyplomacji długo mogła być pozostać przy powierzonych sobie pułdach królewskich z pośród których wiele tych młodych istot szybko się do niej przywiązało. A tymczasem pani Lott w Kairze wychowywuje syna Khedywa Izmaela, na szczególne, nieprzeznaczonego do tronu: potworne książętko, zdolne do wszelkich okrucieństw i wybryków, które samo przedstawia się nauczycielce okrzykiem, iż ma przed sobą wielkiego bardzo, acz dopiero pięcioletniego, baszę. Pierwszem wrażeniem nowoprzybyłej jest chłosta na żądanie dziecka wymierzona ogrodnikowi, który niósł bukiet niedogadzający kaprysom książętki. Rysy te odrazu zrażają panią Lott do przyszłego zadania, uprzedzenia jej rosną nad doświadczeń miarę; a jednak opowiadanie jej obfituje w ciekawe szczegóły, pochwycone z pewną furją szczerości, poręczającą wiarygodność świadectwa.

Pozostaje nam teraz jeszcze rzucić okiem na podróźnicę z innych narodów, ani liczbą ani bodaj wytrzymałością nie wytrzymującą porównania ze śmiałymi turystkami angielskimi. Poczet ich otwiera pani Hommaire de Holl, która użonemu małżonkowi towarzyszyła w naukowych do Persyi wyprawach, i po jego zgonie uporządkowała i uzupełniła jego opowiadanie.

Panna d'Angeville rej wiedzie wśród alpinistek. Dwadzieścia pięć razy z rzędu wdierała się na najwyższe szczyty, aby w końcu zatknąć na Mont Blanc sztandar francuzki, wstępując na wyżyny dla jej płci przedtem niedostępne. „Powodzenie — mawiała — zmienia postać i nazwę rzeczy. Dopókim się wybierała na Mont-Blanc, nazywano mnie waryatką, kiedym szczęśliwie powróciła, ogłosili mnie bohaterką.“ Panna d'Angeville jeszcze w siedmiedziątym roku życia nowe w górach torowała sobie drogi i znaczyła swe ślady.

Nie mniej odważną okazała się pani Biard, lepiej znana pod przybranem mianem Leonii d'Aunet, która towarzysząc mężowi, słynnemu malarzowi, ku północnemu biegunowi dłuższy czas na Spitzbergu spędziła i barwnie tam swój pobyt opisała. Zpośród mnogich a żalobnych szczegółów, zamkniętych wśród lodowisk tej ponurej krainy, najgłębsze wrażenie sprawia na nas obraz półwyspu umarłych, gdzie pięćdziesiąt dwie trumny w łodzi złożone, ukrywały szczątki rozbitków. Jedne z nich nosiły datę 1697 r., inne 1783. Zimno potrafiło uchronić ciała od zepsucia; białe niedźwiedzie sprofanowały wszakże niektóre trupy. Biedne zwłoki nie ostały się przed ich żarłocstwem.

Liza Cristiani, znakomita wiołoncezlistka, przybyła w r. 1852 do Petersburga, aby tam dać szereg koncertów. Żaloba dworska na razie wszelkie przerwała rozrywki. Zawiedziona w swych zamiarach, puściła się w towarzystwie rodziny generała Murawiewa, gubernatora Syberyi, do Kiachty i trzynaście miesięcy spędziła w tamtych stronach. W Jakucku wyczerpnęła się jej odwaga. „Ten wieczny całun śniegu ostatecznie samo serce nawet wyziębia. Otom przebyła trzy tysiące wiorst śnieżnej, niezem nieprzerwanej równiny. Wszędzie śnieg, jeden leżący, drugi w powietrzu zawisły, wszędzie step bezbrzeżny, gdzie myśl ginie a duch się błaka, aż w końcu całe jestestwo owija się w śmiertelne czechoło, niedopuszczające już żadnego rozgrzania.“

Panna Cristiani nie traci z oczu swego zawodu, daje słyszeć swą grę na wiołoncezi tam, kędy żaden artysta nigdy nie dotarł. Do czterdziestu koncertów urządza na Syberyi, nie licząc w to

prywatnych wieczorów. Streszczając swą wyprawę, pisze, że odbyła podróż przeszło rok trwającą, że zwiedziła piętnaście miast sybirskich, przebyła czterysta rzek i strumieni, zrobiła 18.000 wiorst drogi bryczką, wozem, sankami, lektyką, konno lub pieszo; że zakosztowała gościnności Kałmyków, Kirgizów, Kozaków, Ossyaków, Jakutów, Chińczyków. Wszystko uważa i opisuje z pewnym rodzimym wdziękiem, szuka guza i ubolewa, że żadnego nie znalazła, nawet w powrocie wśród gór Kaukazu, gdzie Szamil siał wówczas postrach ogólny. Znużona nadmiernymi trudami, przybyła narazie do Nowo-Czerkaska, i tam choroba zmiołła odważną kobietę. Na jej grobie, u stóp krzyża wyrzeźbiono ulubione jej narzędzie, wiołoncezelę, która jej towarzyszyła w dalekich ponurych krainach.

Pani Bourboulon, żona ministra francuzkiego przy dworze Syna Niebios, odważyła się wraz z mężem przebyć w 1862 r. pustynie Mongolii i Mandżuryi. Nie jest to łatwe przedsięwzięcie, skoro drogę obrócić wypada przez puszcę Gobi, zwaną polspolnie ziemią kamieni. Przestrzeń ta, długa na 600 kilometrów, tak zasłana jest głazami, iż tu żadne życie roślinne ni zwierzęce utrzymać się nie zdoła. Konie mongolskie nie znają innego ruchu nad galop szalony, poprzez skaliste stopnie, które tu przyroda wyłobila. Można sobie wyobrazić: jaką męką staje się podróż w podobnych warunkach. Wszystko się łamało i kruszyło, monety od tarcia się rozpylały w proch srebrny, zostawiano wciąż po drodze szczątki połamanych przedmiotów, dzieląc się tylko, iż ludzka machina podobną wytrzymuje próbę. Nierzadko podróźni na morską zapadali chorobę, skutkiem wstrząśnięć na kamiennym szlaku stepowym. Poprawiła się droga, — nie poprawiły się warunki podróży, gdy wkroczone w granice Syberyi. Upał letni tak był rozmnożył moskity i komary, że konie ginęły, a cała karawana mimo przezornych środków zakrycia się przed skrzydlatym wrogiem, wyglądała jak pochód szpitalny.

Nadmierne trudy wyczerpały siły pani de Bourboulon, która, skołatana przebytą drogą, w 1865 r. zgasała, mając zaledwie lat trzydzieści siedm, za powrotem do Francji i rodzinnego swego zamku.

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Aluminium oraz jego własności. — Automatyczne podlewanie roślin doniczkowych. — Oznaczanie poziomu wody z odległości. — Thermopila i jej zastosowanie. — Nowe lampy elektryczne. — Fortepian elektrofoniczny. — Gramofon Berliner. — Siła maszyn parowych na wystawie w Chicago.

Jeden z francuzkich myślicieli powiedział: „Nie ma nic trudniejszego nad wprowadzenie w zwyczaj ludzi nowych pierwiastków, bez względu nawet na pożytek, jaki przynoszą.“ Aforyzm ten zastosować najzupełniej można do metalu aluminium.

Wiadomo, że glin (po łacinie: aluminium) jest najbardziej rozpowszechnionym składnikiem skorupy ziemskiej; nie występuje on jednak sam, lecz w połączeniu z tlenem, wodorem, kwasem siarczanym, fosfornym, najbardziej zaś w połączeniu z krzemianami; oddzielenie go wszakże od powyższych składników nie małe przedstawia trudności.

Pomimo usilnych i długoletnich prób, robionych już przez Davyego, dopiero Wöhler w r. 1827-ym zdołał otrzymać glin metaliczny w stanie czystym. W roku 1850 Deville znacznie uprościł sposób je-

go otrzymywania — lecz jeszcze cena tego metalu wynosiła naówczas 10.000 franków za kilogram. W miarę czasu udoskonalał się sposób produkcji a koszt jej zmniejszał się coraz bardziej, tak, że w roku 1878 kilogram kosztował już tylko 190 franków. Kiedy znakomity Bunsen, profesor chemii heidelberskiego uniwersytetu, wpadł na myśl zastosowania do wyrobu glinu siły prądu elektrycznego, wtedy dopiero rozwinęła się fabrykacja jego na szeroką skalę. W pobliżu Szafluzy w roku 1889 powstała fabryka akcyjna, która, korzystając z siły wytwarzanej przez Ren, użyła kilku turbin, połączonych z dynamo-elektrycznymi maszynami i przedstawiających siłę 4.000 koni parowych. Jakkolwiek cena glinu spadła do 20 franków za kilo, skutkiem czego znalazł on liczne zastosowanie, zwłaszcza dzięki swej piękności, lekkości (ciężar jego jest prawie 3 razy mniejszy, aniżeli żelaza), wytrzymałości i odporności na wpływy atmosferyczne, to jednak równocześnie zaczęto podawać w wątpliwość jego zalety, i to właśnie w chwili, gdy różne państwa zamierzały wprowadzić go dla armii, do celów gospodarskich i wojennych.

Szczegółowe próby chemików niemieckich, jak np. Plaggego, Lubbersa, Roschera, wykazały, że stojące czas dłuższy w naczyniach z glinu: koniak, wino, wódka, kawa, herbata działają na jego powierzchnię, lecz tak nieznacznie, iż w rachubę brać tego nie należy. Jedzenie gotowane w naczyniach z aluminium wcale smaku nie traci i w miarę częstszego użycia rozpuszcza w sobie coraz mniejsze ilości metalu; wyjaśnia się to tem, że woda przy gotowaniu wylacza krzem i krzemionkę, która cienką powłoką osiada na powierzchni naczynia izolując je coraz bardziej od bezpośredniej styczności z pokarmami. Ocet i sól zawarte w potrawach działają na glin nieco silniej. Pierwszy np. po 4 miesiącach z powierzchni kwadratowego dwumetra zabiera tylko 0.349 grama metalu, a pięcioprocentowy roztwór soli, w tymże czasie i na takiejże powierzchni rozpuszcza 0,045 grama.

Co do zachowania się glinu względem silnych odczynników chemicznych, to alkalia gryzące rozpuszczają go łatwo-wydalając przytem wodór. Kwas azotny nie działa nań wcale, siarczany — trudno, solny natomiast — bardzo energicznie.

Stopy t. j. aliaże glinu z żelazem, a zwłaszcza z miedzią, wskutek wybornych swych własności nadają się do różnych celów technicznych, jak np. wyrobu instrumentów matematycznych, uzbrojenia, dział, lokomotyw, części maszyn i t. p.

*

*

*

Często bardzo osoby wyjeżdżające na parę dni lub tygodni zmuszone są powierzać innym pielęgnowanie posiadanych w domu roślin; dobrze — jeżeli trafią na istoty sumienne i rozumne — w przeciwnym bowiem razie rośliny kosztowne i piękne giną częstokroć marnie. Otóż dla zastąpienia człowieka przy dotychczasowym podlewaniu zastosowano sposób bardzo prosty, a w rzeczywistości bardzo użyteczny. Przy przesadzaniu rośliny wstawia się w dolny otwór doniczki gruby, okrągły knot z bawełny, wystający nad dnem na parę cali — następnie knot ten, kilkakrotnie rozszczepiany na podobieństwo gwiazdy, zostaje obsypany ziemią. Na to wkłada się korzenie rośliny i jak zwykle okrywa dokoła ziemią. Doniczkę stawia się na naczyniu pełnem wody, tak, aby dolna część wystającego z dna knotu była w niej zanurzona; wówczas, na zasadzie włoskowatości, woda wsiąkając w knot zostaje ciągle podnoszona ku górze, a utrzymując wilgoć w ziemi pozwala roślinie żyć i rozwijać się należycie.

*

*

*

Fryderyk Smith, z Trynity Collegium w Oxfordzie, zmuszony oznaczać każdorazowe podnosze-

nie się poziomu wody w rzece, wskutek deszczu, wpadł na pomysł oryginalny i bardzo dowcipny. Użył on w tym celu dwóch dużych piszczałek organowych i telefonu. Jedną rurę organową umocował pionowo na rzece w taki sposób, iżby woda wchodząca do dolnego, otwartego końca sięgała tak wysoko, jak wysokim jest poziom rzeki. Umieszczony przy rurze mały mieszek, wprawiany w ruch za pomocą prądu wody, włacza powietrze do rury i wywołuje ton, którego wysokość zmienia się wraz z poziomem wody w rurze. Do górnego końca rury przymocowany jest mikrofon, który telefonem komunikuje stacyi obserwacyjnej, choćby nawet bardzo odległej, wszelkie głosy wytwarzające się w piszczałce. Na stacyi tej znajduje się druga rura organowa, zupełnie identyczna z pierwszą, która może być w każdej chwili pogrążona mniej lub więcej głęboko w zbiorniku, napełnionym wodą. Obok znajduje się również mieszek, jak i na rzece; poruszany ręką lub nogą włacza on powietrze w rurę i wywołuje dźwięk. Ton wydany przez rurę ustawioną na rzece może być dzięki telefonowi jaknajwyraźniej słyszany na stacyi; jeśli zatem rurę stacyjną będziemy zanurzali w wodzie dopóty, dopóki obie nie zabrzmią zupełnie zgodnie, otrzymamy naówczas obie długości pogrążeń jednakowe. Na tej zasadzie łatwo już będzie obrać poziom wody na stacyi rzecznej. Czynność ta nie wymaga ani minuty czasu i może być wykonaną przez osobę, umiejacą choć trochę rozróżniać tony. Doświadczenia, czynione zrazu na niewielkiej, a następnie na znaczniejszej, odległości, dały wyborne rezultaty, przyczem Smith przekonał się, że ucho o średnim wykształceniu muzycznym nie robi większych błędów przy oznaczaniu nad 3 milimetry, zaś osoby bardzo muzykalne ustawiają rurę z dokładnością zupełną. Różnica temperatury powietrza na dwóch stacyach powoduje naturalnie pewne zmiany w wysokościach obserwowanych; np. dźwięk o 250 wibracjach na sekundę, przy różnicy 10° Celsjusza, spowodował błąd 9 milimetry, co ze względu na wymiar przy znacznej odległości jest rzeczą mało ważną.

*

*

*

Niedawno wystawioną została we Frankfurcie na widok publiczny „thermopila.“ Zapytasz się nie-
wątliwie, szanowny czytelniku, zdziwiony: co to słowo ma oznaczać?

Oto niejaki pan Gülicher zbudował przyrząd bardzo prosty, który, pochłaniając ciepło, zamienia je wprost na siłę elektryczną; przyrządowi swemu nadał on miano „thermopili.“

Dawno już było wiadome, że kryształy turmalinu lub topazu, blaszki srebrne i inne ciała, nierówno na obu końcach ogrzewane, nabywają własności elektrycznych, zaś Seebeck doświadczeniami wykazał, że ruch ciepła po obwodzie metalicznym rodzi również strumienie elektryczne. Badając bliżej powyższe zjawiska, przekonamy się, iż pochodzą one od nierównego rozchodzenia się ciepła po różnych częściach obwodu. Becquerel, tworząc obwody z rozmaitych metali o różnym przewodnictwie ciepła, jak np. z bizmutu i platyny, srebra i cyny, żelaza i antymonu, otrzymywał nawet dosyć silne strumienie, które nazwał — termo-elektrycznymi.

Otóż pan Gülicher użył również dwu metali, różniących się jaknajbardziej przewodnictwem ciepła, a łącząc je lutami wielokrotnie ze sobą, otrzymał przy ogrzaniu silny stos termoelektryczny. Pierwotnie brał on nikiel i antymon lecz, że ten ostatni jest bardzo łamliwy, skutkiem czego złutowanie szybko się psuło, przeto użył mieszaniny (spizu) antymonu, która nie tak szybko się topi i jest nader trwała. Wystawiony stos jego jest najlepszym z tego rodzaju, jaki dotąd zdołano otrzymać, rozwija bowiem natężenie czterech wolt, przy prądzie o pięciu amperach. Aby stos wprowadzić i utrzymać w działaniu przez godzinę należy zużyć tylko 400 litrów gazu, co jest rzeczą niezmiernie taną. Z sześciennego metra gazu utrzymuje się praca elektryczna równa 100 woltom: rezultat godny uwagi.

Obok tego stosu wystawiono przyrząd złożony z kilku baterii powyższego systemu, ogrzewanych jednak nie gazem, lecz koksem. Baterie ustawione naokoło odpowiedniego piecyka są bardzo prostej konstrukcji. Thermopila tego rodzaju, pochłaniając w ciągu godziny ciepło wytworzone z 2 kilogramów koksu — daje wzamian 80 wolt z prądem 10 amperów.

Bateria taka, ustawiona w pokoju, najzupełniej wystarcza dla otrzymania 8 lamp żarowych, każda o sile 16 świece, przez 6 godzin dziennie i dla niewielkich mieszkań opłaca się wybornie, daje bowiem za tanie pieniądze ciepło i światło zarazem.

Wraz z termopilą wystawione były przez Feina ze Stutgardu nowe lampy łukowe, automatycznie obracające się dokoła. Lampy te palą się przy prądzie słabym lub silnym i mogą być ustawione w każdym kierunku, zarówno pionowym, jak i poziomym. Dzięki tym własnościom wybornie nadają się do rozmaitych celów, jak np. przenośne lampy stołowe lub teatralne, większe zaś do oświetlania portów, okrętów lub lokomotyw.

*

*

*

Rozwijająca się corazbardziej elektro-technika znajduje nie tylko liczne zastosowania w różnych gałęziach przemysłu, lecz wkracza nawet w dziedzinę sztuk pięknych. Najlepszym tego dowodem jest wydoskonalony przy jej pomocy instrument muzyczny.

Nowy fortepian elektrofoniczny tą ma wyższość nad dotychczasowym, że łączy w sobie zalety zwykłego fortepianu z harmonium. Drgania strun w nim wywołane pochodzą od działania elektromagnesów; w gammie majorowej dźwięki najzupełniej przypominają — harfę eolską, a w minorowej — skrzypce. Mechanizm wraz z elektromagnesami może być przystosowany do każdego fortepianu, pomimo to jednak można grać na nim i w sposób zwykły.

Struny uderzane przez młotki, przy pomocy pedalu dźwięcząc mogą czas dłuższy — lecz można wyjąć młotki z ogniwa prądu, aby posługiwać się przy grze wyłącznie tylko elektromagnesami. Cały mechanizm, a zwłaszcza część elektryczna urządzona jest z wielką prostotą; mała bateria akkumulatorów służy do poruszania elektromagnesów, które w swym ruchu wywołują znowu drgania strun — t. j. tony. Fortepian elektrofoniczny zastosowany być może do wywoływania zupełnie odmiennych, aniżeli dotychczasowe, efektów akustycznych.

*

*

*

Gramofon, zbudowany przez Berlinera, jest w zasadzie bardzo podobny do fonografu Edisona, gdyż drgania wywołujące dźwięki są w nim również zatrzymywane i notowane, lecz sposób, w jaki się to odbywa, jest odmienny.

W fonografie błona drgająca kieruje sztyfcikiem, który pozostawia ślad na obracającym się cylindrze, pokrytym woskiem lub cynfolią; w gramofonie natomiast sztyfcik kreśli znaki spiralne na okrągłym krążku cynkowym.

Krążek ten pokrywa się bardzo cienką warstwą, wosku rozpuszczonego w benzynie, a następnie na wolnym powietrzu odparowuje, aby benzyna ulotnić się mogła. Skoro krążek ze znakami uczy-nionymi przez drgający sztyfcik zanurzymy w jakim kwasie, wówczas linie naznaczone — jako odkryte z powłoki wosku — zostaną wytrawione.

Z tak otrzymanego krążka można wielokrotnie odtwarzać dźwięki, w takisam sposób, jak w fonografie Edisona. Widzimy ztąd, że gramofon Berlinera jest w gruncie rzeczy tylko odmianą instrumentu, wynalezionego przez sławnego elektro-technika amerykańskiego.

*

*

Aby dać choć słabe pojęcie ogromu tworzącej się w Chicago międzynarodowej wystawy, pozwolę sobie przytoczyć parę szczegółów, odnoszących się do samych tylko silni (t. t. motorów) parowych.

Na wystawie filadelfijskiej jedna machina, systemu Corlissa, o sile 2.400 koni wzbudzała podziw i zdumienie; na wystawie paryskiej w roku 1889 użycie siły 6.000 koni parowych uważano za rzecz nadzwyczajną; wszystko to jednak jest rzeczą drobną, wobec tego, co ujrzymy w Chicago.

Ogólna summa siły użytej do wprawiania w ruch różnych machin wyniesie 24.000 koni parowych; olbrzymi pałac machin przez całą długość mieć będzie 6 równoległych, potężnych wałów transmissyjnych, przenoszących ruch po całym budynku, który, podzielony na odpowiednie sekcye, 60-metrowej długości, otrzymywać będzie siłę od 24 machin parowych, każda o sile 1.000 koni.

G. D.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że na wzór istniejącego tam towarzystwa ubezpieczeń od grabieżnictwa, ma powstać towarzystwo ubezpieczeń od nieurodzaju.

— Delegaci rządu chińskiego przybyć mają do Petersburga w celu ukończenia układów o kontrakt handlowy. Ratyfikowanym on będzie zapewne w Styczniu.

— Petersburska rada medyczna zakończyła rewizję zbioru praw, dotyczących aptek. Skutkiem tego będzie ogłoszona wkrótce nowa ustawa apteczna.

— Dozór sanitarny nad stanem zdrowotności naszego miasta oraz pomocy lekarskiej w różnych jego dzielnicach, przyjęło bezpłatnie czternastu lekarzy.

— J. Ex. Arcybiskup Popiel dopełnił w licznej asystencji duchowieństwa aktu poświęcenia kościoła Ś-go Augusta, wznoszącego się przy zbiegu ulic Nowolipki i Dzielnej. Świątynia ta, jak wiedzą czytelnicy naszego pisma powstaje z fundacji ś. p. hr. Potockiej z Wilanowa. Na Grzybowie lewa wieża kościoła W.W. Świętych została ukończona i zabłysnął na niej krzyż w stylu odpowiednim strukturze całego gmachu. Rzeźbiarz Balon wykończył statwę Ś-go Pawła przeznaczoną do ozdoby tej wieży. W Granicy budowa kościoła rozpoczęta na wiosnę znacznie się posunęła dzięki ofiarności ludzi dobrej woli, do liczby których zaliczyć trzeba urzędników kolei i służbę. Wnoszone tu są składki miesięczne, obok tego znaczną jest praca ofiarnicza okolicznego ludu przy niwelowaniu gruntu, zwożeniu materiału i kopaniu ziemi pod fundamenta.

— Budżet zakładu chłopców sierot imienia Jachowicza, zostającego pod opieką Warsz. Tow. Dobroczynności a mieszczącego się w gmachu poddominikańskim, z filią w Drewnicy pod Warszawą, przedstawia 3.000 rs. rocznego rozchodu. Filia w Drewnicy da przez czas tegorocznej zimy przytułek 30 chłopcom sierotom słabego zdrowia. Na rzecz tej kolonii sierot p. Stan. Rotwand ofiarował 100 rs.

— Z polecenia prezesa Tow. Dobroczynności, ks. Tadeusza Lubomirskiego, zwrócono się do zarządu ochron. aby wydawaną tam była dzieciom

przez przeciąg bieżącej zimy gorąca herbata z pieczywem. Wydział wsparć Towarzystwa przyznał z zapisu ś. p. Dra Orzechowskiego według woli testatora zapomogi po 150 rs. czterem młodzieńcom pochodzącym z rodziny: Sniadeckich, Orzechowskich, Mianowskich i Maleckich.

— Deklaracye na wystawę nasion, roślin gospodarskich, produktów nabiałowych i domowego gospodarstwa wiejskiego mogą być nadsyłane tylko po dzień 1-go Listopada. Wystawa otworzy się d. 15 i trwać będzie dni dziesięć.

— Kurs ogrodnictwa i pszczolnictwa w muzeum na Koszykach rozpoczyna się z dniem 2-ym listopada.

— Sala rysunkowa, istniejąca przy Muzeum Przemysłowym rozpocznie wkrótce naukę rysunku stosowanego do rękodzieł. Kierunek obejmie tu budownictwo Niencewski.

— Obraz p. Wład. Podkowińskiego dużych rozmiarów „Taniec szkieletów“ oraz kilka studyj tak olejnych, jak farbami wodnymi, wystawione zostały w Towarzystwie Sztuk Pięknych. Temuż Towarzystwu przybyło świeżo członków rzeczywistych pięćdziesiąt. Malarz Wacław Pawliszak, przebywający w Algierze, pracuje tam nad krajobrazami okolic Oranu, Konstantyny, Blidah, które zamierza przenieść do Warszawskiego Tow. Sztuk Pięknych.

— Malarz Chełmoński wystawił w Towarzystwie Sztuk Pięknych, obraz „Wieczór.“ Kompozycya ta przedstawia ług stepowy z bujnym bogactwem wysokich traw, kwiatów dzikich, kiści strzelających w górę; czuć w powietrzu ciepło, lekkie opar srebrno błękitnawy podnosi się z dołu i owiewa tę roślinność dziewczęcą. Czuć, że powietrze jest wonne, na niebie widać jeszcze ostatnie złotawe odbłyski zaszłego już po za horyzont słońca i czujemy że tu jest ciepło, cicho, trzeba też na taki obraz malarza poety, kochającego naturę, umiającego odczuwać jej uroki i przenosić widza w ten świat cudów spokojnych, pełny przejmujących choć łagodnych wrażeń. Trzy zające wyglądają tu z trawy, spokojne, zadowolone, czujące, że są na łonie matki natury, gdzie ich nie ściga żadna złowroga groźba człowieka i razem dzieło to wielkiej piękności artystycznej, należy do pereł naszego malarstwa.

— Matejko namalował nowy obraz znacznych rozmiarów: „Napać krakowskiego pospólstwa na żydów w XV-ym w.,“ a ma to być nowe arcydzieło, bardzo szlachetnie traktowane z rozumem pojęciem namiętnego szachu z jednej strony i rozpacznej obrony z drugiej.

— Gmach teatru krakowskiego wykończony już zupełnie z zewnątrz, przedstawia się po otynkowaniu i zdjęciu rusztowania bardzo okazale; wewnątrz przecież prowadzą się stolarskie, tapicerskie i dekoracyjne roboty, urządzają łoża, trzeba przytem uporządkować jeszcze plac Ś-go Ducha przed teatrem. Maszyny do oświetlenia elektrycznego potrzebują umieszczenia, które kosztować będzie kilkadziesiąt złr. nie zamieszczonych w budżecie, razem koszt wyniosą cały milion złr.

— Posiedzenie komisji konkursowej Włodkiewicza, mającej dostarczyć nowej scenie sztuk, rozpoczyna się wkrótce; Sienkiewicz nadesłał już opinią swoją o nich, obecnie rozpoczęło się ich czytanie przez członków komisji.

— Sprawa wystawy krajowej, mającej się odbyć we Lwowie w 1894 roku, już jest na wulkanie. Prezydium wystawy wysłało zaproszenie do dostojników państwowych, mianując ich honorowymi prezesami, zaproszono zarazem do komitetu wykonawczego wydział krajowy, namiestnictwo, reprezentacyę Lwowa i Krakowa, radę szkolną, dwa towarzystwa rolnicze, trzy izby handlo-

wa. Koszta na urządzenie wystawy obliczono na 600.000 złr. obok tego wiele miast i rad powiatowych przyznało wystawie subwencye.

— Komitet wzniesienia pomnika szlachetnemu etnografowi, Kolbergowi, zamierza urządzić koncert na powiększenie funduszu pomnikowego. Zeleniński przypozwawszy sobie do pomocy pp. Barabana i Galla, postanowił przyprowadzić rzecz tę do skutku; Gall ma zaprodukować tu nowe swoje utwory z motywów ludowych, zebranych przez zmarłego miłośnika pieśni swojskiej.

— Krakowskie koło artystyczne obchodziło d. 14-go b. m., czterdziestoletni jubileusz działalności artystycznej profesora szkoły sztuk pięknych, Leopolda Löflera.

— Międzynarodowa wystawa sztuki ma się odbyć w Berlinie w 1895 r., jak i również wystawa przemysłu niemieckiego, a ta ostatnia zamierza wystąpić okazale, w rozmiarach jak najobszerniejszych, wynagradzając niejako krajowi i przemysłowi niemieckiemu zawód pod względem wystawy powszedniej w Berlinie, której zamiar rozbił się o opór Francji, wzdygającej się przed wzięciem w niej udziału. W tym samym roku 1895 Włochy urządzają wystawę w Rzymie.

Wystawa jubileuszowa 400 setnej rocznicy odkrycia Ameryki została otwarta w Getyndze, w bibliotece uniwersyteckiej. Obejmuje ona wszystkie dzieła biblioteki, mające styczność jakas z wiekopomnym tym faktem. Znajduje się tam między niemi dziennik Kolumba obejmujący zapiski wszystkich zaszłych zdarzeń i spotkań przygód, jest bardzo rzadkie dzieło, pisane po łacinie a zawierające pierwszą myśl nazwania nowo odkrytego lądu Ameryką. Znajdują się tam ciekawe mapy odkrywanych kolejno krain. Jedną z pomiędzy nich, z datą 1520 r., nosi pierwszą tę nazwę.

— Wyprawa podbiegunowa na parowcu „Rieder“, która w d. 7-ym Czerwca 1891 r. pusiła się z Grenlandyi, w d. 20 Sierpnia r. b. wpłynęła do Dyre Fiordu u brzegów Islandyi. Wyprawa przeżimowała pod 70° 27 szerokości północnej i zdobyła sobie bardzo znaczne korzyści naukowe. Powrotną drogą wróciła do Greenlandyi d. 27-go Września.

— Mrs Palmer pragnąc zapewnić dla wystawy w Chicago liczny współudział kobiet europejskich, zwróciła się za pośrednictwem arcybiskupa irlandzkiego do papieża, przedstawiając w liście pełnym uszanowania, jak podniesienie poziomu pracy kobiet wpływa na stan ich moralności, jak podnosi je nad wiele ciemnych przepaści życia. Leon XIII przyznał słusność temu pogładowi tak w rozmowie ze wspomnianym arcybiskupem, jak i w liście, w którym odpowiedział przychylnie Mrs Palmer, błogosławiąc jej pracę, mającą na celu dobro bliźniego.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 12-ty tomu II powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Przed zimą. Elegja, przez Stefana z Opatówka. — U domowego ogniska, przez M. Illicką. — Alfred Tennyson (dalszy ciąg). — Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Wędrowne ptaki (dalszy ciąg). — Z działu przyrody, przez G. D. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód.—30 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 14 Октября 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Okrycia zimowe. — Futra do ubrania tychże. — . — Magazyn pani Łojewskiej, Bracka 10.

Chmurne niebo, wilgotne i coraz to chłodniejsze powietrze, liście pożółkłe, sypiące się pod nogi, wszystko przepowiada zimę i przywodzi na myśl cieplejsze ubranie. Jakkolwiek nie jest naszym celem, nakłaniać nasze czytelniczki do bezustannych zmian mody, wszelako obowiązkiem naszym wtajemniczać je w te drobne szczegóły, dopomagające w wyborze towarów, lub ułatwiające odświeżanie tualety.

Obok długich paltotów i płaszczyków czyli rotund, tak wygodnych na codzienne wycieczki lub w podróży, pierwsze miejsce zajmuje obecnie luźny paltot pół-długi, zapinany na bok a niekiedy przepięty paskiem.

Co do materyałów na ten użytek najużywanych są: „Eskimo, szewiot, plusz i materyał jedwabny z wełną, tak zwany „Wiktorya.“ Wy różnić tu należy paletot z sukna koloru ciemnozielonego, przybrany kamizelką z materyału jedwabnego tegoż koloru, haftowaną złotem, w miejsce zaś paska gruby sznur jedwabny. Ładnym był również paltot wcinany z sukna granatowego widzieliśmy je w magazynie p. Anny.

Krój okrycia tak zwanego „Cape“ utrzymuje się na zimę, ale nieco przydłużony i po większej części podszywany futrem. Rękawy okryć i paltotów dochodzą kolosalnych rozmiarów, nie jest to zbyt wygodne i zmusza praktyczniejsze osoby do zastępowania ich zwyczajnymi bluzowemi rękawami z szerokim mankietem. Kołnierze po większej części wykładane i robione w ten sposób, że przy chłodniejszej temperaturze można je podnosić pod same uszy, stąd to noszą nazwę „kołnierzy ochronnych.“

Panie przekładają wogóle pół-długą pelerynę nad „Cape“e. Dla młodych zaś osób bardzo są wdzięczne pelerynki sukienne w stylu Henryka II-go z aksamitnym kołnierzykiem, jest to bardzo ładne ubranie dla młodych lżyżwiarek. Starsze panie chętnie powracają do dolmanów lekko podwatowanych. Długie burnusy i paltoty luźno wpadające, najwygodniejszym są zawsze ubranie na wycieczki wieczorne, do teatru i t. p. Po większej części ozdobę okryć stanowią obszyta futrzane i marabuty; boa w rozmaitych kolorach, jak: czarne, brązowe, szamoa, popielate i białe, utrzymują się na zimę, jako ozdoba bardzo do twarzy i ciepło utrzymująca szyję. Muszę tu zaznaczyć, com osobiście sprawdziła w tym roku, iż skóry zajęcze i oposy farbują na czarno i popielato w Belgii — podobnież różne inne pośledniejsze futra. Wszelkie zaś pióra, jak: marabuty i futra z kóz angorskich do oszywania okryć eleganckich lub na boa, na różne jasne kolory, jak: żółty, różowy, lila, szamoa, perłowy, farbują

tylko w Paryżu; jest to wyłączna specyalość tego miasta mody i fantazyi. Wybór futer jest nader obfity, naturalnie do okryć przeważnie w ciemnych kolorach.

W obecnej chwili zaopatrywania się w okrycia, z całą sumiennością rekomendujemy znany magazyn pani Łojewskiej, Bracka 10, gdzie obok niepraktykowanego wyboru pokazywano nam śliczne okrycia z modnych materyałów. Między innemi jasny paletot z (himalai), nie zostawiający nie do życzenia, płaszczyk czarny gruby „directoire“ o dwóch krótkich pelerynkach spojonych na plecach wąską fałdą „vateau“. A szuby i szubki zastępujące futra—co za wybór—i co za cena! w dzisiejszych czasach, to kwestya żywotna.

L. C.

Suknia z sukna plisowanego i aksamitu.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 42.

Suknia złożona z spódnicy i z stanika z sukna koloru poziomkowego i aksamitu koloru oliwkowego. Spódnica wykonana podług dzisiejszego systemu z materyału jedwabnego i pokryta całą spódnicą z sukna plisowanego na maszynie. Stanik w tenże sposób wykonany. Rękawy w połowie z sukna, w połowie z aksamitu podług ryc.

Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona szlakiem tureckim.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 42. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—13).

Suknia z sukna koloru oliwkowego i z aksamitu tegoż koloru trochę ciemniejszego, przybrana szla-

kiem tureckim rozmaitej szerokości. Spódnicę z podszewki wykonać podług fig. 1 i 2, stosując się do oznaczonych liezb i znaków. Wierzchnią spódnicę skrajac podług fig. 3 dwie części z uwzględnieniem konturu lewej części, która tak jak i część dolna obszyta falbanką z aksamitu 4 c. szer. Stanik zapięty pod spódnicą. Po dopełnieniu złożenia fig. 6, 12 i 13. skrajac z podszewki fig. 4, 7 — 10 po dwie części. Rękawy podług fig. 12 z uwzględnieniem konturu spodniej części. Z aksamitu fig. 5, z sukna fig. 6 po jednej części. Fig. 11 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 13 dwie części. W przednich częściach z podszewki wykonać zaszwewki, oraz małe fałdy. Fig. 5 ułożyć w fałdy, trafiając na kropkę i podług cyfr przyszyć do podszewki. Wykończyć całość podług ryc. i p podług fig. oznaczonych bardzo wyraźnie znakami i numerami.

Serwetka w stylu Louis XVI. Ścieg krzyżowy i dziergany.

Rycina Nr 5 i 9 w Bl. Nr 42. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 78—82).

Serwetka wykonana na tkaninie kanwowej, której grubość wskazuje ryc. Nr 9, koloru żółtawego 40 c. w kwadrat. Rzucany deseń kwiatków wykonac w równych odstępach podług ryc. Nr 9, oraz fig. 78—82 rozmaitego koloru rozpolowioną filozelą (jedna nitka) ścięciem krzyżowym. Co zaś do kielicha fig. 9 użyć kolor brązowy; liście kwiatka kolorem żółtawym, gałązki i listki oliwkowym w kilku cieniach. Otoczyć ścięciem dzierganym filozelą koloru poziomkowego.

Pelerynka dla małej panienki.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 42.

Materyał potrzebny: 100 gr.

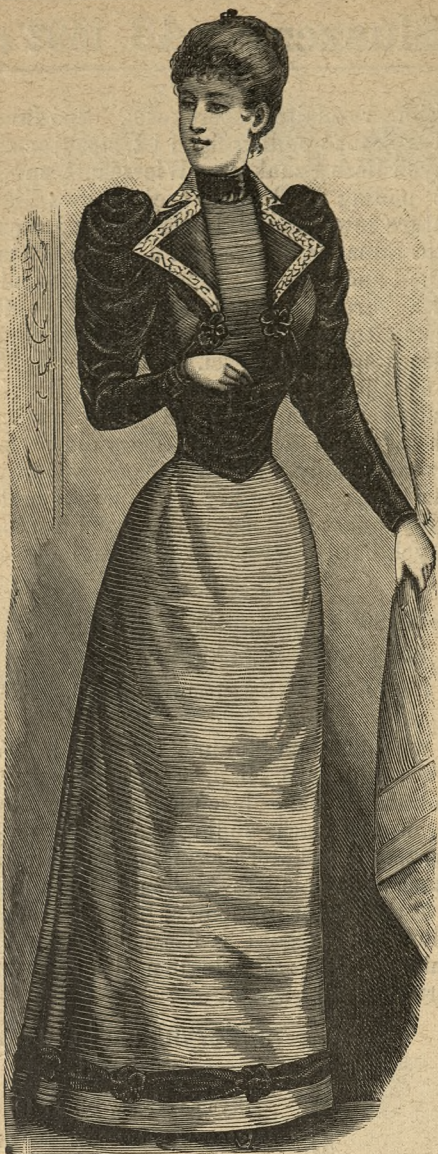
Pelerynka wykonana włóczką koloru białego i podług ryc. przewlekana wąską różową wstążeczką, która w dolnym brzegu, oraz przy kołnierzu zakończoną jest puklami. Rozpocząć robotę od lewej przedniej części na założeniu 60 ocz. tam i napowrót wykonywać jak następuje.—1 kolej: ocz. opuścić, potem ciągle 1 ści. o. w każde o.—2 kolej: 1 pow. o., potem ciągle 1 ści. o. w przednią żyłkę następ. o. poprzedn. o.—3 kolej: (prawa str. roboty) 2 pow. ocz., * 1 ści. o. w przednią żyłkę następ. o. poprzed. kolei, 1 słup. w wolną żyłkę nast. ocz. przedostatniej kolei, następne ocz. poprzed. kolei opuścić, od * powtórzyć, aż do tylnego środka należy od 4 do 50 kolej ciągle naprzemian powtarzać 2 i 3 kolej, przyczem słupki należy przestawiać, oprócz tego na fałdy ra-



Nr 1. Suknia wizytowa.

Nr 2. Suknia wizytowa.

Nr 3. Tylna część sukni Nr 1.

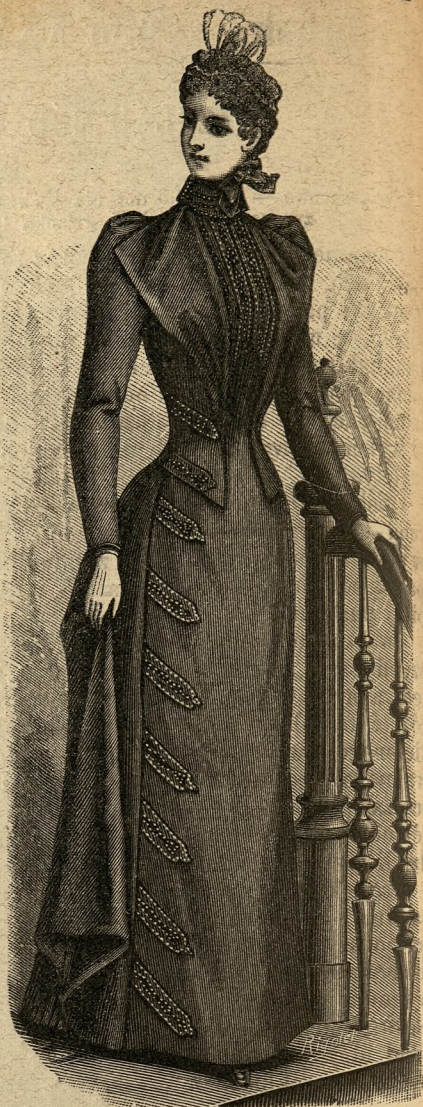


Nr 6. Suknia z bengaliny i aksamitu.
(Opis odwr. str. tabl.).



Nr 4. Paltocik ozdobiony haftem dla panienki od 3—5 lat.
(Krój, opis i deseń pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10—15).

Nr 5. Płaszcz ozdobiony haftem dla dziecka od 1—3 lat.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22—26).



Nr 7. Suknia z sukna dla starszej osoby
(do ryc. Nr 26).
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 35—45).

mienne należy wykonać 6 kolei dodatkowych pomiędzy koleją 24 i 25, 26 i 27, oraz pomiędzy 28 i 29. Po wykonaniu drugiej połowy peleryny odpowiednio do 1-ej wycięcie szyi otoczyć koleją jak następuje: ciągle 1 ścis. ocz. w rząd o. znajdujących się pomiędzy dwoma następ. kolejami. Co zaś do otoczenia pelerynki koleją łuków, wykonać takowe podwójną nitką włóczki ciągle naprzemian; 2 śc. o. przedziel. 4 pow. o. w następ. ocz., 1 o. opuścić. Kołnierzyk przy wycięciu szyi ściśle wykonywać, dalej zaś ścięciem luźniejszym rozpocząć również od lewego poprzecznego brzegu na założeniu 20 o. 1 kolej. ści. o. przy wycięciu szyi a otoczyć dolny brzeg rzędem łuków. Spoić z peleryną ścis. oczkami.

Suknia z aksamitu w paski „pékin“ i z sukna

Rycina Nr 12 i 13 w Bl. Nr 42.

Suknia z aksamitu w paski koloru zielonego, złożona z spódnicy i stanika z długimi z tyłu połami. Spódnica zaopatrzona podszewką. Stanik zapinany na boku, rękawy podług ryc.

Suknia ozdobiona sutaszem dla panienki od 15—17 lat.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 42 (do ryc. Nr 15 w Bl. Nr 41). Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 37—46.

Suknia zapinana w tylnej części z materiału wełnianego w deseń koloru piaskowego, ozdobiona sutaszem jedwabnym tegoż koloru. Napierśnik i kołnierzyk stojący z bledo-niebieskiej wełnianej krepy. Po dopełnieniu złożenia fig. 45 skrajać z podszewki fig. 37 dwie części. Podług fig. 44 rękawy z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawa, z materiału fig. 45, z podszewki i materiału fig. 38 do



Nr 8. Suknia wieczorowa z materiału krepcowanego. (Op. odwr. str. tabl.).

Nr 9. Suknia z sukna ozdobiona pasmanterią. (Opis odwr. str. tabl.).

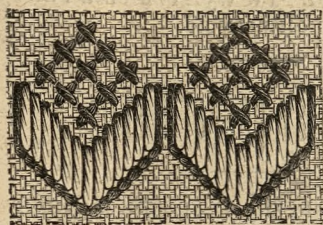
40 po dwie części, Fig. 42 jedną część złożoną wzdłuż środka. W przednich częściach wykonać małe fałdki, obłożyć materiałem, wykonać zaszewki; zeszyć od 1 do 2 i przybrać napierśnikiem z niebieskiej wełnianej krepy, na co potrzeba materiału 28 c. dł. a 56 c. szer., który po kilkakrotnie zmarszczyć w górnym i w dolnym brzegu i przyszyć do przedniej części wzdłuż linii. Wykonać wycięcie szyi. Połączyć przednie części, plecy i boczki, tylną część zaopatrzyć w haftki do zapinania. Wszyć kołnierzyk, oraz kołnierz wykładany, który ozdobić sutaszem podług fig. 46. Rękawy zmarszczyć w górnym rzędzie od * do *, w materiale wykonać fałdy, trafiając każdy + na kropkę, przyfastrygować do podszewki, spodnie części pokryć materiałem, zeszyć razem części, przybrać sutaszem, oraz wzdłuż rozporka przyszyć guziki i pentelki ze sznureczka. Spódnica ma 86 c. dł. a 180 c. szer., w górnym brzegu ułożona stosownie do potrzeby w fałdy na spódnicy alpagowej podszytej muślinem. Dolna część otoczona falbanką z materiału. Spódnica z materiału odpowiedniej długości ma 256 c. obwodu. Wykończyć podług ryc. i wykonać pasek, ozdobić takowy sutaszem.

Suknia z podwójną spódnicą.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 42 (do ryc. Nr 5 w Bl. Nr 41). Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14—20.

Suknia złożona z podwójnej spódnicy i stanika marszczonego, wykonana z sukna koloru zielonego i ozdobiona galonem brązowym, przetykanym złotem. Skrajać fig. 18 i 20 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Fig. 19 dwie części i podług ryc. przednią część naszyć dwoma

rzędami galonu i ułożyć w fałdy, trafiając każdy $\dagger$ na kropkę. Wzdłuż linii zgięcia załamać ostro materiał, zaokrąglić w górnym brzegu; części zaopatrzyć podszewką. Po połączeniu takowych, dolny brzeg otoczyć falbanką pod spodem. Wykonać nacięcia na rozporek, oraz odszycia po bokach. Oznaczone $\dagger$ lit. a umocować na kropce a i w miejscu oznaczonym $*$ przyszyć wstążeczki do wiązania. Wierzchnia spódnica ma 200 c. obwodu. Obydwie spódnice wszyć razem w pasek. Co do stanika, po dopełnieniu złożenia fig. 12 i 17, skrajając z podszewki fig. 4, 7—10 po jednej części. Fig. 12 z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawa. Z sukna fig. 11 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 14, 16 i 17 po dwie części. Wykonać zaszwęki w przednich częściach z podszewki, oraz małe fałdki i przybrać galonem podług ryciny. Przednie części ułożyć w fałdy, mocując każdy $\dagger$ na kropce, oraz dwa $\dagger$ na jednej kropce. Wyłożyć wzdłuż linii zgięcia i przymocować podług cyfr i znaków do podszewki. Po połączeniu fig. 9 i 10 i po przykryciu częścią materiału ułożonego w fałdy 1-szy i 2-gi boczek pokryć sukmem i zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Kołnierzyk wykonać podług fig. 15, wszyć w stanik; fig. 16 zaopatrzyć sukmem i podkładem, zeszyć od 15 do dwukropka, podszyc dru-



Nr 11 Część szlaku do ryc. Nr 10 (wielk. oryginy.).

kiem i podług ryc. wygiąć. Rękawy zeszyć od 19 do 20. Materiał ułożyć w fałdy, mocując $\dagger$ na kropce a wzdłuż linii zgięcia mocno zastębnować, przyfastrygować do podszewki, wykonać szew wewnętrzny, zmarszczyć od $*$ do $*$ i wszyć w stanik.

Stanik z połami frakowemu.

Rycina Nr 20—21 w Bl. Nr 42.

Stanik z wigoni koloru granatowego, przybrany czarną gipiurą koronką. Naturalnie wykonać takowy można stosownie do upodobania z każdego innego cięższego materiału, a zwłaszcza sukno nadaje się bardzo do formy frakowej, i wówczas koronkę zastąpić można haftem maszynowym



Nr 10. Kieszonka do zawieszania przy łóżku (do ryc. Nr 11). Deseń odwr.

wieszania przy łóżku str. tabl. Nr XV, fig. 72.

albo aplikacją. Kaftanik luźny, zaopatrzonej jedwabną podszewką.

Kapelusze zimowe bez ubrania.

Rycina Nr 22—28 w Bl. Nr 42.

Kapelusze okrągłe, wykonane z aksamitu w różnych kolorach na foremkach z petynety, oraz filcowe.

Suknia z materiału jedwabnego „changeant” z koronkowym kaftanikiem.

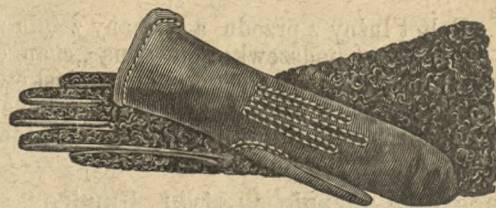
Rycina Nr 29 w Bl. Nr 42.

Suknia formą „princesse” z materiału jedwabnego „changeant,” zaopatrzonej cała podszewką. Stanik przedłużony aż za kolana z koronki czarnej gipiurowej. Tylna część ufałdowana i przepięta paskiem z dżetu. Rękawy podług ryciny.

Suknia wizytowa.

Rycina Nr 1.

Suknia z materiału wełnianego granatowego. Dolna część spódnicy otoczona dwoma falbankami z aksamitu granatowego, po nad którymi naszyty galonik żółty, pokryty czarną gipiurą koronką. Stanik i buffy rękawów z aksamitu w kraty szkockie. Pasek z aksamitu granatowego. Stanik marszczony jak z tyłu tak z przodu, ozdobiony rodzajem chusteczki krzyżującej się, ozdobionej czarną gipiurą na podkładzie



Nr 12 i 13. Zimowe damskie rękawiczki.



Nr 14. Paltot z dużym kołnierzem (do ryc. Nr 18). Opis pierw. str. tabl.

Nr 15. Suknia spacerowa w stylu „Empire.”

Nr 16. Suknia w stylu „Empire” dla panienki od 4—6 lat.

Nr 17. Suknia w stylu „Empire.” (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 18. Przednia część paltotu do ryc. Nr 14.

z żółtego galonu; kołnierz z szewiotu, odpowiednio przybrany czarną gipiurą.

Suknia wizytowa.

Rycina Nr 2.

Suknia z materiału wełnianego „changeant,” kolorów: zielonego z niebieskim, przybrana aksamitem w kolorach; ciemno-zielonym i niebieskim. Spódnica cała na podszewce, otoczona falbanką wycinaną w zęby z aksamitu zielonego. Pasek z wstążki aksamitnej, zapięty z boku pod kokardą z szarfami zakończonymi kwastami pasmanteryjnymi. Stanik marszczony z materiału wełnianego, przybrany aksamitem, zakończonym dzierganiem maszynowym. Przybranie to stanowi rodzaj kołnierza. Rękawy marszczone; na ramieniu przepięcie ozdobione klamrą z pasmanteryi.

Nr 25. Przednia część okrycia „Cape” (do ryc. Nr 9 w Bl. Nr 44).

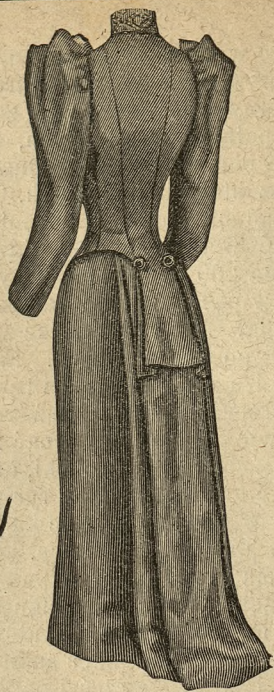


Nr 27. Toczyk w rodzaju kapotki.

Nr 28. Kapelusz z aksamitu.



Nr 24. Korona (haft biały).



Nr 26. Tylna część sukni (Nr 7).

Przybranie stanika ze złotej pasmanteryi.

Rycina Nr 31.

Ubranie do stanika marszczonego w rodzaju bluzki, składa się z paska szerokiego, wykonanego z złotej pasmanteryi, przedłużonego po nad ramiona, dalej zaś na plecach krzyżuje się i łączy w dolnej części z paskiem.

Skrzyneczka na drobiazgi (rzeźba na drzewie).

Rycina, Nr 29. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 67—70).

Skrzyneczka, wykonana z drzewa lipowego, bogato rzeźbą ozdobiona; rzeźbę

wykonać po politurowaniu na kolor ciemny. Fig. 67—70 podaje rysunek odpowiedni. Po wyrzeźbieniu należy wernikować i wolne jeszcze tło politurować.

Paltot z dużym kołnierzem dla młodej osoby.

Rycina Nr 14 i 18.

Paltot luźny z przodu a wcinany z tyłu z sukna zielonego, zaopatrzony podszewką jedwabną „changeant.” Peleryna a raczej duży kołnierz z sukna koloru piaskowego, przedłuża się aż do wcięcia z przodu, związany ku lewej stronie wstążką zieloną repsową 6 c. szer. Kołnierz stojący z sukna piaskowego, oraz wyłożenie rękawów.

Spacerowe ubranie w stylu „Empire.”

Rycina Nr 15.

Suknia z materiału wełnianego w paski. Paltot sukienny, przybrany kołnierzem wykładanym z aksamitu i takimiż szlakami. Do paska umocowany mały woreczek aksamitny.

Suknia w stylu „Empire” dla panienki od 4—6 lat.

Rycina Nr 16.

Sukienka zupełnie luźna z aksamitu granatowego koloru, opasana szerokim paskiem zakończonym w tylnej części kokardą z materiału jedwabnego niebieskiego. Duży kołnierz z tegoż materiału.

Pół-długie okrycie „Cape” ozdobione barankami.

Rycina Nr 25 (do ryc. Nr 9 w Bl. Nr 44).

Okrycie z sukna koloru oliwkowego, przystające do figury z rękawami spadającymi. Przybrana pentlicami ze sznurka i guzikami. Obszycie z baranków jak wskazuje ryc.

Toczyk w rodzaju kapotki.

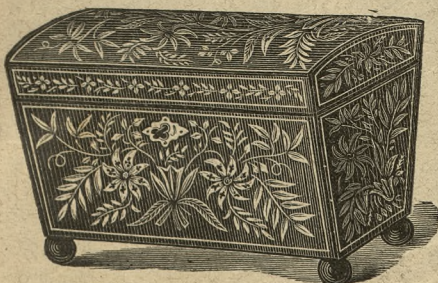
Rycina Nr 27.

Toczyk wykonany na foremce z petynетки z aksamitu koloru brązowego, przybrany wstążką repsową 6 c. szer. tegoż koloru lub koloru różowego, otoczony szlakiem z piór koloru brązowego i przybrany piórami strusimi „changeant różowe z brązowym.

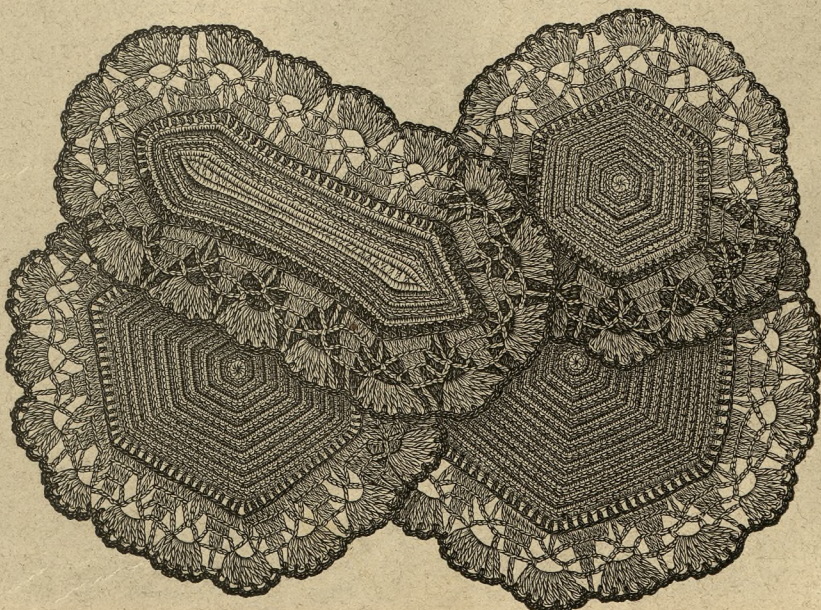
Kapelusz z aksamitu

Rycina Nr 28.

Foremka z petynетки obcignięta gładko aksamitem. Rondo podszycie aksamitem i pokryte grubą czarną koronką. Główna otoczona kręconą wstążką repsową koloru pomarańczowego. Pęk strusich czarnych piór i ozdoby metalowe wykonują całość.



Nr 29. Szkatułka (rzeźba na drzewie). Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 67—70.



Nr 19—22. Serwetki do umywalni (robota szydełkowa).



Nr 30. Kapelusz dla młodej osoby. Opis pierw. str. tabl.

Przepisy gospodarskie.

Potrawa z kaczki z sosem z głogu.

Oczyszczoną kaczkę ugotować w całości, dodając dużo włoszczyzny, a lejąc bardzo niewiele wody, tyle, aby tylko kaczkę objęła. Włoszczyznę dodaje się po wyszumowaniu kaczki, oraz kawałek kwiatu muszkatołowego, gotować krótko na wolnym ogniu, aby się nie rozgotowała. Oddzielnie w garnuszku ugotować pół kwarty głogu po wybraniu pestek, który właśnie na jesieni jest najłżejszy i najdojrzalszy, nalewając go tyle tylko wodą, aby go przykryło, gotować parę godzin. aby był zupełnie miękki. Gdy kaczka ugotowana i rozebrana, wymyć rondel w którym się gotowała, włożyć dużą łyżką młodego masła, rozetrzeć na surowo z pół łyżką maki, raz zagotować poprzedzonym rosołem z kaczki, dolać szklankę białego lekkiego wina, przefasować głóg, nie lejąc smaku z niego, dolać ten przefasowany głóg do zaprawki z masła wymieszawszy starannie, włożyć rozebraną kaczkę i dać się już tylko dobrze rozgrzać, lub na bardzo wolnym ogniu lekko zagotować.

L. O.

Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z kluseczkami.
2. Ozór solony z chrzanem.
3. Młoda gęś z jabłkami
4. Legumina: tort angielski.

DOŚWIADCZENIE PRAKTYCZNE.

Robiąc syrop gęsty, czy to do konfitur, czy do cze-gobadź, najlepiej od razu na porąbany w kawałki cukier nalać właściwą ilość wrzącej wody, tak, aby się sam rozpuścił bez ogrzewania na ogniu. Rozpuszcza się wtedy równo i niema obawy przypalenia.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.